

madododrze

ZIELONA GÓRA 18 V 1986 — 31 V 1986 R.
ROK XXX NR 10 [615] CENA 15 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

Dorota Siuda: to profesor Hajzer mnie stworzył...

Hajzera koncert na skrzypce

Anna Bułat-Raczyńska

Może gdyby wtedy, w pięćdziesiątym ósmym pojechał do Genewy na ten konkurs...

Ale nie pojechał. Ktoś w Warszawie powiedział, że Hajzer się nie nada i wysłano innego ucznia. W charakterze obserwatora.

Dorota Siuda, jedna z najlepszych uczennic Stanisława Hajzera mówi, że profesor zmarnował życie. Ze byłby wspaniałym wirtuozem. Ona słyszała kiedyś w radio kilka utworów, które nagrał przed laty „To było wspaniałe! Jak on gra!”

Dla Doroty mieć talent i nie grać, to znaczy łamać sobie życie — nawet jeśli robi się w nim potem coś równie wspaniałego i wielkiego. Dorota nie umie dziś myśleć inaczej. Jest skrzypką, solistką. Ma dopiero 19 lat, a studiuje już na czwartym roku Akademii Muzycznej w Bydgoszczy. „To skrzypce tak gonie. W przedmiotach teoretycznych jestem niżej”. Dwa razy była najlepsza na Festiwalu Młodych Skrzypków w Lublinie a w Folkestone w Anglii była piąta. Aż piąta. A kiedy miała zaledwie 13 lat, po Festiwalu Skrzypcowym w Częstochowie, któryś z recenzentów muzycznych pisał o niej tak: (...) zgola rewelacyjna Dorota Siuda, której swobodna technika oraz wielka dojrzałość i kultura muzyczna mogły usatysfakcjonować nawet najwybredniejszego smakosza muzyki skrzypcowej. Ta dzie wczyna z Zielonej Góry ma przed sobą wielką przyszłość...

Dorota: — To profesor Hajzer mnie stworzył.

Dla Doroty nie jest równie ważne nagle granie. Wszystko inne może być tylko moźolnym egzystowaniem. Prawdziwe życie, to chwile, kiedy stoi

się przed publicznością i gra. „Skrzypce zawsze równoległe do podłogi. I nie obciążać prawej nogi” — tak uczył profesor.

Stanisław Hajzer — choć nie został wirtuozem — wcale nie uważa życia za złamane. Nie nachodzą go takie myśli. Na jałowe gdybanie brakuje mu czasu. Takie myśli czasem zaprzatają innych — jego kolegów uczniów, dziennikarzy. Zastanawiają się oni, czy mógłby być lepszym wirtuozem niż jest pedagogiem i czy to w ogóle jest możliwe?

To, co dał na przykład Dorocie to je wcale nie wszystko co nauczyciel może dać uczniowi. Dorota boi się żeby profesor nie wypuścił jej spod skrzydeł przedwcześnie. Właśnie wyjeżdża do Krakowa. Czeka ją tam jakieś nagranie dla telewizji. Fonia jest już właściwie zapisana na taśmach. Trzeba się będzie tylko pokazać, zagrać raz jeszcze i uważać żeby nie było przyspieszeń i opóźnień.

A w zielonogórskiej filharmonii trwa akurat koncert. Gra Monika Jarecka z Bydgoszczy, utalentowana uczennica profesora. Ma dopiero 12 lat i już czwarte miejsce w konkursie Lubelskim. Stanisław Hajzer siedzi na balkonie, przygląda się Monice i z uwagą przy słuchuje grze. Podczas przerwy umawia się z Dorotą na jeszcze jedno spotkanie przed Krakowem. Ma wątpliwości, czy

Ciąg dalszy na str. 4

Z NOWEJ SOLI DO MEKSYKU

Piotr Piotrowski

Ulica Pstrowskiego w Nowej Soli położona jest nieco na uboczu, w związku z tym w upalny, wiosenny dzień panuje tu rozleniwiająca cisza. Na ławeczkach wygrzewają się mieszkańcy domów, którzy przy tej ulicy spędzili większą część swoich lat. Wyjazd do Zielonej Góry jest dla nich eskapadą, podróż do stolicy — przeżyciem. Inaczej już myślą chłopcy biegający na pobliskim boisku. Mają konkretny przykład, że i z tej cichej uliczki w małym mieście można — przy pewnej dozie szczęścia, talentu i czegoś tam jeszcze — wyruszyć nawet na podbój świata.

To właśnie z ulicy Pstrowskiego „Młynarz” wyruszył w świat. Ale zanim do tego doszło, strzelał gole na szkolnym boisku jedynie dla czystej przyjemności. W szkole podstawowej numer 6 trafił na swego pierwszego trenera, nauczyciela wychowania fizycznego, Piotra Polańskiego. W tym przypadku trudno wyrokować — czy Młynarczyk miał szczęście trafiając na takiego wychowawcę, entuzjastę piłki nożnej, czy wychowawca miał szczęście trafiając na takiego wychowanka. Pan Polański z chęcią rozmawia o Młynarczyku, a jeszcze chętniej opowiada o piłkarzu, swoim młodszym podopiecznym. Teraz, gdy patrzy na rozwój kariery Józefa Młynarczyka o którym mówi — jak niegdyś — Józek, dochodzi do wniosku, że później nie zdarzyło mu się trafić na takiego chłopaka. Trudności wychowawczych

było z nim co niemiara, ale za to w ćwiczeniach fizycznych był najlepszy. Miał najwyższe noty ze wszystkich sprawnościowych sprawdzianów. Posiadał znakomity refleks, na obozach „pływał jak kaczka”. Ta nieprzeciętna sprawność wynikała między innymi, z jego fizycznej budowy, „to był chłopak — żyła”. Mimo tych wszystkich zalet na bramkarza specjalnie się nie nadawał, był... za niski. Nawet stojąc na palcach i wyciągając ręce nad głowę od poprzeczki dzieliła go jeszcze spora odległość. Ale jak to w podwórkowej piłce bywa, wszyscy biegają ławą na bramkę przeciwnika z zamiarem strzelenia gola: na pozycję bramkarza brakuje amatorów; koniec końców stawia się tam byle kogo, najsłabszego, najmniej wybieganego. W MKS „Astra” pozycję bramkarza zajął Młynarczyk. Braki wzrostu

nadrabiał odwagą i refleksem. „Józek był szalenie odważny, myślałem że czasem za bardzo. Tam gdzie inni bałby się włożyć nogę — on potrafił wkładać głowę”. W finale Mistrzostw Polski MKS-ów „Astra” przegrała z Szczecinem 2:3; gole wpadały nad wyciągniętymi palcami bramkarza. Po wakacjach, w czternastym roku życia, Młynarczyk wystąpił w górę, ale z pozycji bramkarza zrezygnował. W drużynie Zespołu Szkół Budowlanych grał w obronie. Uczestniczył w zdobyciu przez drużynę mistrza i dwukrotnie wicemistrza Polski.

W III-ligowym „Dozamecie” grał po nownie w bramce. Specjalnych wido-ków na zrobienie kariery nie posiadał, był jednym z trzech równorzędnych bramkarzy. Dozamet, jak na III ligę, grał dość dobrze, ale widoki na awans były marne. Sukcesy w piłce od dawna przestały zależeć jedynie od wysiłku jedenastu kopaczy na boisku. A Dozamet nie był jeszcze wówczas faworytem władz wojewódzkich.

W 1974 roku, po przegranym 1:3 meczu pucharowym ze „Sprotawią”, z Młynarczykiem nawiązuje kontakt działacz z również III-ligowego BKS Bielsko. Piłkarz zostaje zaproszony na sprawdzian, a po wejściu BKS-u do II ligi i ponownym sprawdzianie zmienia barwy klubowe. Wieść gminna niesie, że koszt transferu ograniczył się do kilku nastu ubiorów piłkarskich. Trudno to obecnie potwierdzić, ale jest pewne, że sensacji przetargowych nie było.

Trenerem BKS-u zostaje Antoni Piechniczek. I ponownie można zadać pytanie, dla kogo to spotkanie było szczęśliwsze? Z trenerem Piechniczekiem przechodzi Młynarczyk do pierwszoligowej „Odry” Opole. Odra dzięki Piechniczkowi zaczęła nabierać wiatru w żagle, inna sprawa, że piłkarze później

Ciąg dalszy na str. 4



PLASTYKA

SATYRA A PRASA

Bogumił Wtorkiewicz

„Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych” z 1967 r. podaje, że satyra to aktualny utwór literacki wyszydzający, chłoszczący, ośmieszający indywidualne albo społeczne wady i przywary, zło i bezprawie; ogół utworów tego rodzaju. Ponieważ w tym przypadku interesuje nas satyra jako rysunek, dla uproszczenia słowo „literacki” zamienimy na „plastyczny” a sens satyry rysunkowej pozostanie ten sam. Tenże słownik jeszcze wyjaśnia, że autor satyr nazywa się — satyryk, natomiast „satyr” to lubieżnik i rozpustnik. By zgłębić całą etymologię satyry zająłem do „Słownika Kościelnego Łacińsko-Polskiego” z 1958 r. W j. łacińskim nasza spolszczona satyra nazywa się „satira”, jest rodzaju żeńskiego i oznacza, oczywiście, satyrę, paszkwil, utwór treści różnorodnej. Na tomiast satyryk nazywa się „satirographus”, a to już prawie tyle co satyryk-rysownik. Drugi człon tego łacińskiego wyrażenia, jest pochodzenia greckiego — graphicus — i dotyczy pisania, rysowania, malowania.

Karykatura to według „Słownika wyrazów obcych” — humorystyczne, ośmieszające uwydatnienie, wyolbrzymienie charakterystycznych cech osoby, przedmiotu albo wydarzeń, głównie w plastyce i literaturze.

A co to jest prasa? Nie będę wyjaśniał, bo przykłady leżą w kieszeni „Ruchu”. Pragnę tylko przestrzec by

nie mylić z prasą w zakładach przemysłowych, która wszystko gniecie na jedno kopyto. Zbieżność funkcji tych dwóch pras jest przypadkowa.

Rozważając problem „historia satyry polskiej”, nie innego nie wypadła jak tylko zagłębić się w mroki dziejów i tam szukać odpowiednich przykładów. Problem o tyle ciekawy, że np. średniowieczny artysta przedstawiając coś lub kogoś w sposób satyryczny, nie wiedział o tym, że w tym momencie jest satyrykiem. Satyry okresu średniowiecza możemy szukać w księgach iluminowanych lub w rzeźbie, najczęściej architektonicznej lub w groteskowych detalach architektonicznych: głowice kolumn, np. smok z głową biskupa w opactwie bernardynów Sw. Wincentego we Wrocławiu kapitel kolumny z opactwa cystersów w Kolbaczu — diabeł ciągnie za kapur jednego z zakonników, wspornik w kościele farnym Sw. Michała w Grodkowie na Opolszczyźnie — 3 karykaturalne maski. Elementy satyry w księgach iluminowanych — choćby w słynnym „Kodeksie Baltazara Behe-ma”, gdzie wśród 27 iluminacji 18 zawiera elementy satyryczne. Najczęściej przedmiotem satyry był kler, sceny z piekła, Sadu Ostatecznego. Oczywiście nie była to satyra „czysta”, lecz jej elementy przejawy.

Ciąg dalszy na str. 8

opinie i refleksje

Europa

- nasz wspólny dom

Pamiętam, że takiego właśnie sformułowania użył Illa Ehrenburg na Kongresie Intelktualistów we Wrocławiu. Mówił tam o „starych kamieniach Europy”, z których każdy jest historią. Po czucie europejskości „jest więc w rzeczywistości” uznaniem wspólnego dzieła kulturowego naszego kontynentu. Nie ma to nic wspólnego z tzw. europocentryzmem, bo teraz już wszyscy rozumieją ogromną rolę, jaką we współczesnych procesach dziejowych odgrywa również inne kontynenty a do przeszłości należą czasy, gdy Europa dyktowała swą rolę światu. Dziś chodzi przede wszystkim o to, aby mieszkańcy naszego kontynentu, żyjący w krajach o różnych ustrojach społeczno-politycznych, znaleźli wreszcie wspólny jezyk we wszystkich kluczowych problemach i w ten sposób zapewnił nam już nie tylko pokojową koegzystencję, ale trwałe bezpieczeństwo.

Polska znajduje się w najbardziej niewalczącym miejscu Europy, na styku dwóch jej stref: socjalistycznej i kapitalistycznej. Dlatego też to wszystko, co dzieje się na naszym kontynencie, jest dla nas szczególnie ważne. Chcemy przez cwidłać wszystkim, co utrwala podział Europy — polityczny, ekonomiczny, technologiczny; temu, co mogłoby sprawić, że słowo Europejczyk nabierze znaczenia tylko geograficznego. A przede wszystkim ono w rzeczywistości równie nie poczucie wspólnej odpowiedzialności za utrzymanie pokoju na naszym kontynencie. Polska realizuje te linie konsekwentnie, żeby przypomnieć tu tylko plany Rapackiego, Gomułki oraz ostatnie inicjatywy Wojciecha Jaruzelskiego zgłoszone w czasie 40 Sesji Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Rozumiemy przy tym dobrze, że utrzymywanie pokoju europejskiego posiada znaczenie nie tylko regionalne, lecz globalne. Zachowanie pokoju na naszym kontynencie stanowić będzie niezawodną gwarancję uchronienia świata przed nową wojną powszechną. Pamiętamy przecież, że to właśnie w Europie zaczęły się dwie wojny światowe. Mieszkańcy naszego kontynentu wiedzą doskonale, że następny konflikt zbrojny, którego zarzewiem byłaby Europa, stałby się niewątpliwie konfliktem nuklearnym w skali ogólnoplanetarnej.

Właśnie dlatego pełna normalizacja i rozwój stosunków Polski z państwami europejskimi ma wymiar szerszy, aniżeli zwykłe więzi dwustronne. Najlepszym przykładem może być przypomnienie, iż normalizacja stosunków między Polską a RFN w roku 1970 była jedną z podstawowych przesłanek otwarcia procesu KBWE, zapoczątkowanego w 1975 roku. Konferencja w Helsinkach, kontynuowanego następnie na spotkaniach sygnatariuszy Aktu Końcowego w Bełgradzie i Madrycie. Trzecia z kolei konferencja tego typu ma się odbyć w listopadzie bieżącego roku w Wiedniu.

Przygotowaniem do tego spotkania jest Konferencja Sztokholmska. Jest to niezwykle ważne forum, mające za zadanie wypracowanie środków budowy bezpieczeństwa na naszym kontynencie. I znów Polska wykazała swe głębokie zaangażowanie w te doniosłą sprawę, delegując na otwarcie tej konferencji swego ministra spraw zagranicznych — jedynego (obok przedstawiciela Holandii) reprezentanta tej rangi dyplomatycznej. W pracach konferencji wystąpił obecnie wyraźny zwrot na lepsze. Wydaje się, że impulsem stała się tu nowa inicjatywa rozbrojenia ZSRR sformułowana przez Michaila Gorbaczowa na XI Zjeździe NSPJ. Inicjatywa ta przewiduje osiągnięcie porozumienia w sprawie radykalnej redukcji wojsk lądowych i lotnictwa taktycznego państw europejskich a także analogicznych sił USA i Kanady rozmieszczonych w Europie. Redukowane jednostki zostałyby rozwiązane a ich sprzęt bojowy zlikwidowany.

Jakaż to okazja dla państw Europy zachodniej, aby — w obliczu niechętnego wręcz negatywnej postawy Waszyngtonu wobec inicjatywy radzieckiej — zademonstrować swą suwerenną troskę o to, by Europa — od Atlantyku po Ural (wg znanego sformułowania gen. de Gaulle'a powtórnego przez M. Gorbaczowa w jego berlińskim wystąpieniu) stała się naprawdę wzorcowym kontynentem pokoju.

MICHAŁ HOROWICZ

Pieniądze a kultura

PODCZAS kwietniowej sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze radni ocenili wykonanie planu Funduszu Rozwoju Kultury w 1985 r. Wojewódzki Fundusz Rozwoju Kultury jest obecnie jedynym źródłem finansowania działalności upowszechnieniowej, artystycznej i remontowej państwowych placówek kultury. Składają się nań: środki z nadwyżek budżetowych, dobrowolne wpłaty i darowizny, wpływy z imprez celowych. Środki z funduszu gminnego oraz dotacja z Centralnego Funduszu Rozwoju Kultury, która w roku 1985 wyniosła 1,01. mld złotych. Rozdziału środków dokonała WRN i tylko WRN jest władna ocenić realizację tego funduszu. W ocenie radnych instytucje kultury i sztuki oraz urzędy administracji państwowej zrobili wszystko, by ciągle za małe pieniądze FRK zostały wykorzystane prawidłowo.

WRN w ubiegłym roku przyznała funduszom miast i gmin 590 mln zł (o 25,5 proc. więcej niż w roku 1984), zaś wojewódzkim instytucjom upowszechniania kultury 149 mln zł na działalność i 95 mln zł na remonty kapitalne. Instytucje artystyczne (teatr, filharmonia i estrada) dostały 165 mln zł (o 33 mln zł więcej niż w

1984 r.). To więcej spowodowane zostało zmianą cen materiałów i nowymi uregulowaniami prawnymi w zakresie zatrudnienia i wynagradzania pracowników. W wyniku realizacji ustawy i zarządzeń wzrost funduszu plac o 11,5 mln zł, a wraz z pochodnymi o 16 mln zł. Nastąpiła poprawa sytuacji materialnej artystów i pracowników upowszechniania kultury, mimo to są oni ciągle wśród tych, którzy zarabiają najmniej.

Fundusz jest za mały, by zaspokoić wszystkie potrzeby inwestycyjne kultury i sztuki. W ubiegłym roku kupiono tylko 5 samochodów, teledla teatru, kserokopiarkę dla ksiąźnicy

Z REGIONU

wojewódzkiej, WDK i Muzeum Ziemi Lubuskiej. Wiele placówek wymaga remontu, na ten cel wydano 391 zł, o 20 proc. więcej niż w 1984 r. Kontynuowano prace remontowe obiektów w Miostowicach, Tuplicach, Otyniu, Bobrowicach, Stawie, Szczanie, Bojadach, Koisku, Żarach i Szprotawie. Duży był udział czynów społecznych ludności, m.in. w Karczewie, Bieniowie, Złotniku, Starym Widzimiu. Teatr Lubuski z funduszu utworzonego z odpisów 5 proc. wartości środków

trwałych kontynuował adaptację byłego klubu „Relaks” na Scenę Laikową, która w czerwcu br. powinna być przekazana do użytku.

Wojewódzki Fundusz Rozwoju Kultury wspierał działalność placówek kultury innych resortów, m.in. Międzygospodarczego Domu Kultury w Gozdnicy, domów kultury spółdzielni mieszkaniowych, klubu studenckiego w Zielonej Górze, Centrum Kultury Młodzieżowej w Żarach, stowarzyszeń twórczych.

Ale przede wszystkim WFRK był niezbędny bibliotekom miejskim (137 mln zł), bibliotekom wiejskim (42 mln zł), domom kultury (115 mln zł), ośrodkom kultury (87 mln zł), Muzeom (61 mln zł), teatr — 95 mln zł, filharmonia — 65 mln zł, Biuro Wystaw Artystycznych — 10 mln zł. Za te pieniądze, wielkie, zrobiono wiele. W Drzonowie powstało Lubuskie Muzeum Wojskowe, BWA zorganizowało Biennale Sztuki Nowej i plener polsko-radziecki estrada przygotowała koncerty i recitale, filharmonia objęła swoim zasięgiem większość szkół w Zielonogórskim i Legnickim. Mogły normalnie funkcjonować wszystkie placówki i instytucje, odbyły się wszystkie zaplanowane festiwale i przeglądy, ożywiły swoją pracę środowiska twórcze. Nastąpił rozkwit działalności teatrów dziecięcych, często w małych ośrodkach. Szerzej niż w latach poprzednich zaprezentowany został folklor. Nastąpiła

poprawa warunków pracy wielu bibliotek, wiejskich klubów prasy i książki, świetlic.

Nie wszystko jednak przebiegało zgodnie z planem, wiele terenowych rad narodowych nie wykorzystywało swojej roli gospodarza. Niektóre ogniska administracji terenowej wykazywały brak znajomości zasad legislacyjnych w sferze kultury. Tym należy chyba tłumaczyć oczekiwania na dogodne zalecenia i finansowanie zadań lokalnych. Wprawdzie przekroczono plan dobrowolnych wpłat i darowizn oraz wpływów z imprez celowych, to jednak były to środki zbyt skromne, by zaspokoić wszystkie lokalne potrzeby. Zakładano, że WFRK otrzyma z zakładów pracy 9,5 mln zł otrzymał tylko 4,3 mln zł. Zakłady pracy często występowały do administracji państwowej z prośbą o wsparcie finansowe ich działalności kulturalnej, same nie lub niewiele łożąc na fundusz.

Kultura nie obędzie się bez pieniędzy, chodzi jednak o to, by nie były to pieniądze wydane bezcelowo. Można zrezygnować z obchodów jubileuszów, ale nie można zamknąć filharmonii, teatrów, domów kultury, bibliotek. Tu wszystko zależy od rad narodowych, które umiejętnie, jak dotąd, gospodarzą skromnymi funduszami.

A. SIATECKI

Za ODRĄ

Rozwój energetyki

jądrowej

Rozwój energetyki jądrowej nie przebiegał w NRD tak jak wcześniej zakładano — pisze biuletyn informacyjny ministerstwa ds. stosunków wewnętrznych RFN (nr 5) — jednak w planach na najbliższe lata problemowi temu poświęci się dużą uwagę. Według raportu opublikowanego na łamach specjalistycznego czasopisma „Energietechnik”, całkowita moc elektrowni jądrowych NRD, która wynosi obecnie 1830 MW, do końca obecnego dziesięciolecia zwiększy się dwukrotnie.

Przewiduje się, że do 2000 r. moc elektrowni jądrowych kraju zwiększy się do 9600 MW, a do 2020 r. — do 23000 MW. Tak wysoki wzrost mocy elektrowni jądrowych oznacza — pisze biuletyn — że ich udział w produkcji energii elektrycznej zwiększy się z obecnych 8 proc. do 50 proc. w ciągu najbliższych 15 lat. Jednocześnie planuje się, że do 2000 r. stosunkowo znacznie zmniejszy się moc elektrowni wykorzystujących węgiel brunatny. W raportach publikowanych na łamach pism specjalistycznych — podkreśla biuletyn informacyjny — nie wspomina się jednak o tym, w jaki sposób zamierzenia te mają być zrealizowane. W dotychczas opracowanych planach rozwoju gospodarczego zakłada się jedynie, że do końca obecnego roku uruchomiony zostanie kolejny blok energetyczny elektrowni jądrowej „Nord” w okręgu Rostock.

Obecnie dwie główne przyczyny zmuszają NRD do poszukiwania innych źródeł energii: coraz bardziej kosztowne wydobycie węgla brunatnego w kopalniach odkrywkowych oraz wzrost zanieczyszczenia środowiska spowodowany wykorzystaniem w większym zakresie tego surowca w gospodarce. NRD musi importować znaczne ilości ropy naftowej, gazu ziemnego oraz węgla kamiennego i choć planiści kraju zakładają do 2000 r. podjęcie dalszych działań mających na celu oszczędne wykorzystanie surowców w gospodarce, przewidywane na energię będzie zwiększało się o jeden procent. Jedynym wyjściem z tej sytuacji — podkreśla biuletyn informacyjny — jest zatem szybszy rozwój energetyki jądrowej.

Fortepian Goethego

Po latach wrócił na swoje miejsce historyczny fortepian Johanna Wolfganga Goethego. Cenną pamiątkę umieszczono w narodowym muzeum im. Goethego w Weimarze. Na fortepianie tym grał w swoim czasie mistrzowie tej miary co Clara Wieck i Feliks Mendelssohn — Bartholdy. Instrument wyprodukowany został w 1821 r. w znanej wytwórni Streichera w Wiedniu. Z wielkim ceremoniałem odesłano go wówczas do Weimaru. Jedną z osobliwości tego arcydzieła były młoteczki, niekiedy obite zamazem.

Dziś instrument należy do nielicznych egzemplarzy w których prawie bez zmian zachowały się struny z czasów Streichera. Fortepian poddany został wszechstronnemu remontowi obejmującemu zarówno mechanizm jak i obudowę. Prace restauracyjne wykonał wyspecjalizowany mistrz — Wolfgang Wenke z Eisenach.

(Alfa)

Prokurator przeciw

rozrzutności

Prokurator okręgu Szwerin wniósł protest do prokuratury generalnej NRD w celu podjęcia wymaganych przedsięwzięć dla zapobieżenia dalszej rozrzutności finansowej w Kombinacie F. Okazało się bowiem, że fundusze kulturalne i socjalne oraz inwestycyjne zostały zużyte na cele niezgodne z ich przeznaczeniem. Zawinił przy tym dyrektor kombinatu, główny księgowy oraz dwóch kierowników. Organizacja związkowa kombinatu nie była poinformowana o ich postępowaniu. W imię polepszenia warunków pracy i życia załogi przeznaczono środki finansowe z fidejucyjnego funduszu inwestycyjnego na cele kulturalne, socjalne i premie. Kontrola dowiodła, iż poczynania te nie miały nic wspólnego z założeńmi polityki polepszenia warunków życia i pracy a zużyte pieniądze nie doprowadziły do podniesienia efektywności kombinatu.

(x)

Podręczniki

dla Nikaragui

W Berlinie, w drukarni dziennika związkowego „Tribüne”, wydrukowano szereg podręczników dla dzieci szkolnych z Nikaragui. W nakładzie po 100.000 egzemplarzy wydano podręczniki matematyki, biologii i historii dla klas trzecich. Podręczniki przygotowały również: drukarnia centralnego organu SED — „Neues Deutschland” oraz jeden z drezdeńskich zakładów graficznych łącznie wyprodukowano już w NRD 3,5 miliona egzemplarzy. Min. przygotowaną nową edycję podręczników, które służą w akcji zwalczania analfabetyzmu.

Z okazji przekazania zamówienia odbyły się wiece solidarnościowe z udziałem gości z Managui oraz załóg zakładów poligraficznych.

AMa

Za LABĄ

Kohl a afera Flicka

Już nie jedna, lecz dwie prokuratury — w Koblencku i Bonn — prowadzą śledztwo przeciwko kanclerzowi federalnemu, oskarżonemu o fałszywe zeznania, złożone w toku śledztwa toczącego się w związku z „afetą Flicka”. Kanclerza Kohla oskarża się — pisze hamburski „Spiegel” — o „złożenie pod przysięgą celowo fałszywych zeznań, o nadużycie pełnomocnictw i o pomoc w uchylaniu się od podatków w związku ze sprawą subsydiowania partii”. Ponadto zarzuca się kanclerzowi, że wykazał brak szacunku dla parlamentu który go wybrał. Składając zeznania przed parlamentarną komisją śledczą Kohl 79 razy powoływał się na lukę w pamięci. W związku z tym prawnik i deputowany do Bundestagu z ramienia partii „Zielonych” Otto Schily oskarżył Kohla o to, że mówiąc „nie” przed wspomnianą parlamentarną komisją śledczą, niezgodnie z prawdą oświadczył, że nie wiedział o dotarciu pieniędzy wypłacanych przez koncerny zachodniemieckie na rzecz partii politycznych — z pominięciem obowiązujących przepisów.

Z kolei sekretarz generalny CDU Heiner Geissler, który podczas zaimprovizowanej dyskusji telewizyjnej pośpieszył z pomocą swemu zaatakowanemu przewodniczącemu partii, mówiąc, że owo nieszczerne „nie” było w nim chwilowe „zaciemnienie” kanclerza, publicznie usłyszał od innego bossa partyjnego Wolfganga Schaublego, że gada bzdury! Następnie kanclerz stwierdził z ubolewaniem, że obraża się go błotem” a Geissler powiedział przedstawicielom prasy z przekonaniem, iż śledztwo przeciwko Kohlowi zostanie wkrótce zaniechane z powodu braku jakiegokolwiek łowodów.

Nie udaje się jednak — jak dotychczas — przekształcić tych marzeń i pragnień góry partyjnej CDU w rzeczywistość. Przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości oświadczyli mianowicie, że „śledztwo przeciwko kanclerzowi Kohlowi trwać będzie jeszcze dłuższy czas” a prokuratura w Bonn nazwała oświadczenie Geisslera „absolutnym kłamstwem”.

Ciekawe, że partnerzy Helmuta Kohla z koalicji postanowili trzymać się od niego w obecnej chwili z daleka. Przewodniczący bawarskiej CSU Franz Josef Strauss powiedział mianowicie wprost na konferencji prasowej: „Nie chcę nic wiedzieć o sprawie kanclerza!” Postawa taka nie wymaga chyba komentarza.

(h)

Niezwykła łaska

dla mordercy

Kierując się względami humanitarnymi i stwierdzając, że więzień, na miarę „swojej prostej osobowości”, dokonał już odpowiedniego przewartościowania i zerwał ostatecznie z niechlubną przeszłością — sąd w Hamm-Nadrenia Północna-Westfalia — uwolnił od odbycia dalszej kary zbrodniarza hitlerowskiego, Wilhelma Schuberta. Decyzję tę powzięto powołując się na wiek (69 lat) i stan zdrowotny Schuberta. Jak się zresztą okazało, po ogłoszeniu decyzji sądowej, Schubert faktycznie już od kilku tygodni przebywał w domu, gdyż uważano, — również z powodów „humanitarnych”, iż należy mu umożliwić spędzenie Świąt w gronie rodzinnym. Wiadomość, która dotarła obecnie do szerokiej opinii publicznej, jest o tyle bulwersująca, że nie chodzi tu o jednego z tuzinkowych przestępców z podznaku swastyki. Były oberstschutzherr wpisał się bowiem na karty brunatnego rozdziału historii niemieckiej, jako jeden z najokrutniejszych, najbardziej nieludzkich siewaczy. W 1959 r. został skazany przez sąd w Bonn aż 46-krotnie na najwyższą w RFN karę dożywotnie go więzienia. Uznano wtedy za całkowite udowodnione morderstwo w co najmniej 46 przypadkach i usiłowania morderstwa w szeregu dalszych. Na wysokość kary miał wpływ fakt szczególnie niskich pobudek oraz wyjątkowo odrażający sposób działania: Schubert, pełniący wówczas kierownicze funkcje w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen, wsławił się wyjątkową brutalnością w powoływaniu, sądowym usmiernianiu więźniów. Na ofiary swych wymyślnych tortur wybierał przede wszystkim ludzi chorzy i kaleki. Uwolnienie takiego zbrodniarza spotkało się nawet w prawniczej prasie RFN z pewną krytyką, tym bardziej, że jeszcze w roku 1982 sędziowie odrzucili, jako nieuzasadniony wniosek o darowanie mu reszty kary. W roku 1983 premier Nadrenii Północnej — Westfalii Johannes Rau (SPD) odrzucił inny wniosek — o skorzystanie z prawa łaski. Uwolnienie zbrodniarza hitlerowskiego tej kategorii, nie jest decyzją wyłącznie jednostkową, lecz zasadniczą kwestią kultury politycznej w naszym kraju — twierdzi prasa zachodniemiecka.

W Bonn nie chcą

Straussa

Strauss jest wprawdzie nadal bardzo popularnym i lubianym w RFN politykiem, jednakże niechętnie widziano by go na eksponowanym stanowisku politycznym w Bonn. Jak wynika z ankiety przeprowadzonej przez Instytut Badania Opinii Publicznej Wicberta w Tybindze, aż 76 proc. wszystkich mężczyzn i 74 proc. wszystkich kobiet stanęło na stanowisku, że Strauss powinien zostać w Monachium i nie zabiegać o żaden urząd w Bonn. W przekroju partyjnym wśród tych, którzy skłonni byli widzieć Straussa w Bonn, za takim rozwiązaniem opowiedziała się tylko jedna trzecia sympatyków FDP i 29 proc. sympatyków CDU/CSU.

(m)

Sterylizacja też zawodzi

Okolo 50 000 mężczyzn w Republice Federalnej Niemiec poddaje się każdego roku zabiegowi polegającemu na podwiązaniu nasieniowodów, co powoduje trwałą nieplodność. W niektórych wielodzietnych rodzinach zapada bowiem decyzja, że dla właściwego planowania rodziny konieczna jest sterylizacja jednego z rodziców. Ponieważ u kobiety jest to operacja o wiele poważniejsza niż u mężczyzny, wielu „panów domu” wspaniałomyślnie godzi się na ten zabieg, zwłaszcza, że mimo to są nadal zdolni do aktu piciowego.

Z materiałów znajdujących się w izbach lekarskich a także z procesów toczących się przed sądami cywilnymi wynika jednak, że w niektórych przypadkach małżonki mężczyzn, którzy zostali steryliżowani znowu są przy nadziei. Na tym tle dochodzi niekiedy do grubych nieporozumień rodzinnych, gdyż przyszłe matki podejrzewane są o „skok w bok”. Jednakże po zbadaniu nasienia operowanych okazuje się najczęściej, że są w dalszym ciągu płodni. Jest to skutkiem niedokładnego przeprowadzenia zabiegu. Ponadto operatorzy, jak się okazało w wielu przypadkach, nie przeprowadzili badań kontrolnych, do czego są zobowiązani.

W wyniku takiego sporu 31-letni Herbert Roessler, ojciec czworga dzieci, któremu niespodziewanie urodziło się piąte wystąpił ostatnio o odszkodowanie. „Kochamy nasze piąte dziecko — napisał w skardze — ale z tego one syte nie będzie”.

Inny pechowiec, któremu niespodziewanie urodziło się trzecie dziecko wytargował w drodze urody 30 000 marek odszkodowania. „Nie zrobię na tym żadnego interesu — powiedział przedstawicielom prasy — gdyż koszt wychowania dziecka nie jest teraz niższy niż 150 000 marek”.

Podobnych spartaczonych zabiegów notuje się w RFN po kilka każdego roku.

(Alfa)

W „Nadodrze” (nr 8) podjęliśmy próbę „odszukania studenta” w życiu kulturalnym Zielonej Góry i odpowiedzi na pytanie — czy i w jaki sposób uczestniczy on w owej kulturze miejskiej, czy wnosi doń nowe wartości?

Dyskusja wśród studentów na ten temat przyniosła odpowiedź pozytywną, przy różnorodnym sposobie oceny stanu rzeczy. Jednocześnie ujawniła potrzebę zrewidowania i uzupełnienia naszej ogólnej wiedzy o **fenomenie kultury studenckiej** — tworzonej przez studentów, ale jak pokazuje życie — służącej nie tylko im. Kultury świadczącej o obecności środowiska studenckiego w życiu Zielonej Góry i regionu.

Pomostem łączącym działania instytucji kulturalnych Zielonej Góry i klubów studenckich, działających w akademikach — jest Dom Kultury „Mrowisko”, od roku istniejący na osiedlu Łużyckim. Poniższe rozmowy traktujemy jako głosy wstępne w prezentacji kultury studenckiej w jej wielorakich przejawach i formach.

ROZMOWA Z DOC. DR. HAB. EDWARDEM HAJDUKIEM, PROREKTOREM DS. NAUKI I WYCHOWANIA WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ W ZIELONEJ GÓRZE.

— Czy możemy pokusić się o stwierdzenie, iż studenci współtworzą kulturę Zielonej Góry?

— Odnoszę wrażenie, że w pytaniu zawiera się pewien sceptycyzm. Zapewne — rozpatrywanie sytuacji Zielonej Góry na tle Krakowa, Łodzi i Warszawy byłoby oczywiście przesadą, ale na pewno możliwe — już na tle innych uczelni pedagogicznych. Na naszej WSP jest liczna grupa studentów, którzy swoją działalnością świadczą o możliwościach twórczych tego środowiska. Przykładów jest wiele, na przykład dwa kabarety — „Potem” i „Paka”, w których studenci są twórcami programu, dekoracji, reżyserii. Mamy bardzo dobry ochr — w zeszłym roku wystąpił z koncertami w Hiszpanii, a w tym jest zaproszony do Anglii. Poza tym śpiewacy wielokrotnie prezentowali się miastu, m.in. z okazji Dni Zielonej Góry. Mamy również „Big-Band”, który choć w nowym składzie — zdobył już pierwsze miejsce na wojewódzkim przeglądzie zespołów tego rodzaju. O jego możliwościach niech świadczy fakt, iż został zaproszony przez WSP w Eger na Węgrzech, gdzie odbywa się konferencja rektorów wszystkich współpracujących ze sobą uczelni pedagogicznych — z NRD, Czechosłowacji, Związku Radzieckiego i Bułgarii. Pamiętajmy, że w zespole grają również absolwenci, którzy w ten sposób też uczestniczą w tworzeniu subkultury studenckiej.

Należy wspomnieć o działalności grupy fotografików — jej ostatnia wystawa prezentowana w hollu DK „Mrowisko” pokazała zielonogórską Starówkę od strony dotąd prawie nieznaną i niebanalną. Poza tym mamy klub tańca towarzyskiego „Mrówka”, gdzie tańczą studenci i uczniowie szkół średnich. Swoje umiejętności doskonali również zespół tańca nowoczesnego. Opinia obserwatorów z ZOK-u o zespole jest bardzo pochlebna. Działają też teatr — „Z przeniesienia” — już po udanej i dobrej przyjętej premierze.

Niedawno powstał klub szachowy, który chciałbym wspierać. Oczywiście mógł na dyskutować czy jest to kultura fizyczna, czy symboliczna, jednak szachy to umiejętność bardzo niedoceniana, zważając na dyscyplinującą wolę oraz intelekt. Osobiście spoglądam na wszelkie indywidualne i grupowe poczynania studentów z punktu widzenia przydatności owych działań w pracy wychowawczej naszych absolwentów — w szkole, instytucji kulturalnej, opiekuńczej, a nawet w zakładzie produkcyjnym. Pedagog, z umiejętnościami aktorskimi, tanecznymi, szachowymi lub znajomością kultury Orientu — umie nawiązać kontakt z drugim człowiekiem i przekazać mu nowe i cenne wartości. Zatem — czyni to, co w zawodzie nauczyciela jest najważniejsze.

— Wydaje się, że funkcję kształcąco-wychowującą pełni Spółdzielczo-Uczelniany Dom Kultury „Mrowisko”. Jaka jest rola studentów w jego działalności?

— „Mrowisko” to warsztat studentów pedagogiki kulturalno-oświatowej. Uważam, że można by określić, iż jest to szkoła ćwiczeń. Coś, czego dotąd brakowało. Dobrze się stało, że kadra „Mrowiska” jest merytorycznie przygotowana do prowadzenia zajęć ze studentami. Poza tym — niezależnie od dziedzin kultury upowszechnianych — teatru, muzyki jazzowej, fotografii — każdy zespół lub grupa twórcza opiekuje się dziećmi z osiedla. Oprócz tego prowadzi również działalność imprezową, ukazując głównie dorobek środowiska studenckiego: głównie, ale nie tylko.

— Czy Spółdzielnia nie przeszkadza, że WSP ma prymat w tej placówce kulturalnej?

— Do tej pory partner akceptuje koncepcje naszej pracy i jest zadowolony. Tym bardziej, że kierownictwo domu kultury uwzględniło życzenia Spółdzielni. Uczelnia natomiast realizując swoje założenia dydaktyczne w sposób niejako naturalny odpowiada na potrzeby środowiska i miasta.

— Wynika z tego, iż kultura studencka przenosi się do „Mrowiska”. Jak

więc wygląda aktualna sytuacja i rola klubów studenckich na terenie domów studenckich? Niebagatelną przecież rolę odgrywają finanse.

— Myślę, że to, czy kluby studenckie się utrzymują, zależy tylko od tego, co ludzie z tymi klubami związani będą mieli ciekawego do zaproponowania. Kabarety nadal pracują w klubach, nie przeszły do „Mrowiska”. Również w „Zatem” są zajęcia z plastyki, tańca nowoczesnego, dyskoteki, projekcje filmów, np. w wersji niemieckojęzycznej. Przy właściwych kompetencjach kierowników klubów i studentów-działaczy, kasa wcale nie musi zubożeć. Najważniejsi są ludzie oraz ich inwencja, struktury formalne spełniają mniejszą rolę. Kluby mają bazę, a możliwości finansowe uczelnia może jeszcze stwarzać. Do „Mrowiska” przeszła część studentów, głównie z pedagogiki k-o, dotąd silnie związana z klubami — dlatego, iż dom kultury proponował lepsze warunki do prowadzenia zajęć praktycznych — aparaturę, sale, instruktorów. Po krótkim okresie niepokoju w środowisku,

obecna sytuacja nie budzi moich obaw. — Właśnie o swój byt boi się „Geba”, klub mieszczący się w „starym” akademiku WSP.

— Tak, ale nie z powodu pieniędzy — że uczelnia nie będzie w stanie pomóc. Pomimo dobrej współpracy z partnerem — „Ruchem” — nie udało się znaleźć osoby, która prowadziłaby kiosk. Jeśli tego problemu nie rozwiąże się, partner może mieć wątpliwości, czy płacić cówkę utrzymywać i wspomagać (sprzęt potrzebny do pracy klubu jest udziałem „Ruchu”). Rozmawiałem ze studentami związanymi z klubem „Geba”, którzy przyrzekli, iż sami rozwiążą dylemat.

Uczelnia jest za utrzymaniem wszystkich instytucji kulturalnych, dotąd istniejących. Mam nadzieję, że uda się też zachować różne koncepcje pracy in-

stytucji kulturalnych, bowiem jestem zwolennikiem różnicowania środowiska studenckiego. Studia winny wzmocnić wielorakie zainteresowania kulturalne, zaś obowiązkiem uczelni jest stworzenie

do tego warunków. Wszelkie daleko posunięte unifikacje w działaniach studentów uczelni pedagogicznej osłabiają przygotowanie do przyszłej pracy wychowawczej.

ROZMOWA Z MGR ZBIGNIEWEM TCHÓRZEWSKIM, DYREKTOREM SPÓŁDZIELCZO-UCZELNIANEGO DOMU KULTURY „MROWISKO” W ZIELONEJ GÓRZE.

— Jak w Twojej ocenie, studenckiego działacza, obecnie dyrektora „Mrowiska”, domu kultury bardzo specyficzne go, prowadzącego działalność w oparciu o kadre etatową i studentów — wygląda da stan kultury studenckiej w Zielonej Górze?

ta. Wszystkie fakultety: teatralny, plastyczny, fotograficzny, taneczny i szachowy odbywają się w „Mrowisku”. To właśnie tu studenci pedagogiki kulturalno-oświatowej, przyszli instruktorzy domów kultury, świetlic szkolnych po raz pierwszy stykają się z mikrofonem estradowym, aparaturą nagłaśniającą, oś-

KULTURA STUDENCKA

próba wyjścia z kryzysu



— Chcąc mówić o kulturze studenckiej należy postawić sobie pytanie, czy istnieje zjawisko „kultury studenckiej”. Środowisko jako całość trudno jest „za szufladkować” — ma ono różne zainteresowania, kulturę także. Profesor A. Kłoskowska w dyskusji o kulturze studenckiej zarzyskowała ongiś pojęcie „kultury reprezentacyjnej”, będącej udziałem grup elitarnych; mniej rozpowszechnionej, ale uważanej za najbardziej typową dla określonych kręgów, środowisk.

Czy środowisko studenckie Zielonej Góry ma swoją specyfikę? W ostatnich latach obserwowałem bierność, i nawet abnegację kulturalną licznej grupy studentów, nie tylko w naszym środowisku. Dzisiaj sytuacja wydaje się lepsza. Udział studentów w zjawiskach kulturalnych ciągle się zwiększa. Czy są to zjawiska reprezentacyjne dla grupy społecznej? W niektórych dziedzinach — tak. Pracując w „Mrowisku” mam kontakt z grupami studenckimi i zespołami artystycznymi. Specyfikę tego środowiska na pewno określa teatr, jakże inny od teatru zawodowego, z pewnością bardziej „balaganiarski”, ale szczerzy i ciekawy. Także kabaret, który zawsze był wizytówką środowiska studenckiego. Myślę, że Zielona Góra ma się czym pochwalić. Kabaret „Potem” z WSP zdobył ostatnio wszystkie możliwe nagrody w kraju. Znaczący udział w kulturze uczelni i miasta mają studenckie grupy muzyczne. W Wojewódzkim Przeglądzie Amatorskiego Ruchu Muzycznego „Estrada 85” w gronie laureatów znalazły się dwa zespoły: „Big-Band” z „Mrowiska” i grupa wokalo-muzyczna z klubu „Zatem”. Na uczelni, i w „Mrowisku” działa wiele innych zespołów artystycznych, o których mam nadzieję — niebawem usłyszymy.

— Niektórzy twierdzą, że chcecie przenieść kulturę studencką z klubów do „Mrowiska”?

— Z tym twierdzeniem stanowczo się nie zgadzam. Studenckie kluby, umiejscowione w akademikach, prowadziły i prowadzą swoją działalność proponując studentom różnorodne dokonania kultury studenckiej oraz formy typowo rozrywkowe. Do takiego klubu mieszkańcy akademików mogą przyjść w papciach, potaćzyć, obejrzeć film, posłuchać koncertu, zagrać w brydża, szachy. Jest to uczestnictwo przypadkowe, na luzie; uważam, że niezmiennie potrzebne.

„Mrowisko” jest domem kultury społeczno-uczelnianym, placówką profesjonalną działającą w środowisku akademickim i miejskim. Chcemy, żeby oponowane przez nas formy z udziałem zawodowych artystów, bądź amatorów, często wywodzących się ze środowiska studenckiego, charakteryzowały się profesjonalizmem. Przyjść do „Mrowiska” oznacza dla studentów „wybranie się”. Wystąpić w „Mrowisku” zaś, to wyjść z dokonaniem kultury studenckiej do odbiorcy z miasta. Płynię z tego nauka, doświadczenie obycie ze sceną i słuchaczem, często reagującym zgoła odmiennie niż koleżki z uczelni.

— Spotkałem się z zarzutem, że uczelnia „pcha” do „Mrowiska” wszelkie pieniądze. Macie wspaniały sprzęt.

— „Mrowisko” jest spółdzielczo-uczelnianym domem kultury. Działalność merytoryczną i kadrową finansuje Wyższa Szkoła Pedagogiczna, ale Zielonogórska Spółdzielnia Mieszkaniowa ma również niebagatelną udział w wyposażeniu i utrzymaniu domu kultury.

Mamy w placówce niezły sprzęt, dobre wyposażone pracownie, z których korzystają studenci i mieszkańcy mias-

wielem teatralnym. Dużo placówek kultury w naszym województwie posiada profesjonalny sprzęt, który często jest dla instruktora po prostu środkiem dydaktycznym. Magister pedagogiki k-o musi te środki znać i umieć wykorzystywać w pracy zawodowej.

Oprócz funkcji kulturotwórczej, inspirowatejskiej i dydaktycznej — „Mrowisko” otacza opieką, tzn. służy pomocą merytoryczną i techniczną oraz kadrową wielu organizacjom artystycznym i innym działającym na uczelni. Tu ma siedzibę i prowadzi działalność sekcja Akademickiego Klubu „AIKIDO”, „JOGA”. Studencki Klub Tańca Towarzyskiego, Uczelniany Klub Szachowy; współpracujemy z Chórem Akademickim, w naszych pracowniach odbywają się zajęcia z historii sztuki i studenckie praktyki imprezowe. Widzisz teraz, gdzie uczelnia „pcha” pieniądze.

— Dlaczego jednak zdarza się, iż studenci nie uczestniczą w kulturze?

— Przyczyn bierności kulturalnej studentów należy szukać między innymi w tradycji kulturowej rodziny. U wielu osób, również studentów, rodzina, szkoła, środowisko — nie wykształciły nawyku uczestnictwa w kulturze. Nie się nie dzieje, a na pytanie, co się powinno dzieć, jakie formy i zjawiska kultury winny być prezentowane nie otrzymujemy odpowiedzi i co smutniejsze — od ludzi wywodzących się ze środowiska studenckiego, czyli tej kategorii młodzieży, dla której uczestnictwo kulturalne zyskuje wysoką rangę w hierarchii wartości.

— Czy możesz porównać nasze czasy studenckie, te wcześniejsze, z obecnymi? Czy kultura studencka wychodzi z marazmu?

— Wydaje mi się, że kultura studentów nigdy nie była w marazmie. Na początku lat osiemdziesiątych przestała po prostu pokazywać się ludziom spoza środowiska. A może byliśmy tak zajęci innymi sprawami, że jej nie dostrzegaliśmy, zapatrzeni w swój telewizor, „za słuchani w siebie”. Studenci, jak i większość z nas koncentrują się na odbiorze treści przekazywanych przez środki masowego przekazu, mimo iż w środowisku tym istnieje pewna gradacja wartościująca formy uczestnictwa w kulturze. Wysoko cenione, choć nie za wsze praktykowane, jak wykazuje badania socjologów są wartości przekazywane przez teatr, filharmonie. Natomiast powszechnie praktykowane, a nie zawsze uważane za wartościowe, są treści przekazywane przez środki masowego komunikowania dostarczające odpoczynku i rozrywki w formie zabawowo-rekrektywnej, nie wymagające głębszego wysiłku intelektualnego. Jeżeli ten wysiłek wykorzystany zostanie na pracę dydaktyczną i naukową, to nie musimy się niczego obawiać. Kultura studencka nie na tym nie straci, a nauka może zyskać.

Rozmawiała
MALGORZATA
KOWALSKA-MASŁOWSKA

Małgorzata Pieczyńska i Ryszard Starzyński z zespołu tańca towarzyskiego „Mrówka”, zdobywcy pierwszego miejsca na turnieju tanecznym w Zielonej Górze. Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

Z Nowej Soli do Meksyku

Ciąg dalszy ze str. 1

samą te zagłębię podziurawili. Ale Młynarczyk znalazł już Piechniczkę i vice versa. Drogi trenera i piłkarza rozeszły się. Piechniczka wyjechał z kraju zdobywać trenerskie doświadczenie. Młynarczyk przeszedł do „Widzewa”. A takiej drużyny jak Łódzki „Widzew” nasza ekstraklasa dawno już nie widziała. Okazało się, że Boniek z Bydgoszczy i Młynarczyk z Nowej Soli są bardziej widzący od Widzewa. Nie zawsze ta charakterystyka wychodziła na dobre dla piłkarza i krajowej piłce, ale faktem jest, że w znakomitej drużynie udało się stworzyć solidarną piłkarską społeczność.

Antoni Piechniczka przejął reprezentację w gorącym dla kraju, a także i dla siebie okresie. W tym czasie w reprezentacji nie było ani Bonki, ani niespełnionego Terleckiego, pauzował też przy musowo za znany „występ na Okęciu” niesforny bramkarz. Okres zawieszania stał się próbą odporności. Powrót też nie był łatwy. Zorganizowane grupy stadionowych rozrabiaczy nie szczędziły piłkarzowi złości. Jak się później zwierzył różne niehumanitarne myśli przechodziły mu w takich momentach przez głowę, rozważał też możliwość dezercji, ale wytrzymał. Podobne sytuacje przeżywał zresztą już wcześniej, gdy grał pod opieką Piotra Polańskiego, w tamtych czasach choć był może młodszy i bardziej porywczy też jakoś wytrzymał obelgi od... zielonogórskich kibiców. Z Hiszpanii wrócił z tarczą i srebrnym medalem.

Przy dużej dozie szczęścia, bez którego nie ma bramkarza, Młynarczykowi zdarzył się niefortunny mariaż z francuskim klubem „Bastia”. Wszystko tam było nie tak, jak być powinno: pieniądze nie zawsze wypłacane zgodnie z umową, treningi nie takie, mordercza ilość spotkań, wiele godzin w autokarach i samolotach spędzonych w drodze z Korsyki na boiska francuskiej ekstraklasy.

Piotr Polański był we Francji w czasie, gdy „Bastia” przegrała 1:7. Rozmawiał później z Młynarczykiem przez telefon (nie spotkali się ze względu na dużą odległość), pytał, jak może być trener światowego zawodnika, gdy ten zawieszanie nadaje: „Józek — co to było?” Tajemnica hokejowego wyniku nie była trudna do wyjaśnienia: piłkarze „Bastii” po poprzednim wygranej meczu przez kilka dni fetowali swój sukces, jedynie bramkarz z Polski nie widział powodów do tak manifestowanej radości. Wstrzemięźliwość opłacała się, tylko Józek Młynarczyk uzyskał po tym spotkaniu dobre noty; mimo siedmiu wpuszczonych bramek; można sobie tylko wyobrazić przebieg tego kuriozalnego spotkania. „Bastia” w końcu zbankrutowała, a Młynarczyk z uporem wydobylał się z korsykańskiego dołka. Treningowe zaległości odrabiał na grupowych treningach. Na Korsyce też nie porządku w grupowych treningach.

Decydujący o awansie do meksykańskich mistrzostw mecz z Belgią należał do bramkarza. Koledzy znieśli go z boiska na swoich ramionach. Rozgrywkę z Belgią odbywała się w nerwowej atmosferze przedostatniej szansy. Nerwo było już wcześniej. W trakcie meczu w Grecji kibice mieli możliwość obserwowania rzadkiej sytuacji: postrzeleniu drugiej bramki piłkarze zbiegają z

boiska i ściskają swojego trenera. Ten scenę powinni zapamiętać piłkarze decydujący. Piłkarze mieli pełną świadomość, kto i co im najlepiej służy.

O Tomaszewskim mówiono, jako o tym, który zatrzymał Anglię. Gdy Józek Młynarczyk bronił dostępu do bramki na stadionie w Chorzwie, kibice oczekiwali spektakularnego rewanżu za porażkę w Belgii, apetyty i oczekiwania były inne, niż przed pamiętnym meczem z Anglikami. Tam grano w „obronę Częstochowy”, tu prowadzono grę z równym partnerem, mimo to piłkarze zebraли więcej głosów krytycznych, niż pochwał. Nikt nie powiedział o Młynarczyku, że zatrzymał Belgię.

Oceniając obiektywnie wszystkie jego mecze w reprezentacji — mówi pan Polański — należy stwierdzić, że bez względu na wynik osiągnięty przez drużynę, Józek nie miał puszczanego meczu. Nawet w tym ostatnim, z Hiszpanami, można mieć do niego ewentualne pretensje o jednego gola. Tomaszewski był świetnym bramkarzem ale, podkreślam to raz jeszcze, nie było w kadzie tak sprawnego fizycznie bramkarza jak Józek. A poza tym, to już nie jest ten sam Młynarczyk, co przed laty. Jest bogatszy o doświadczenia. Gwiazdy w sporcie świecą stosunkowo krótko. Przy sprzyjających układach jego sportowa kariera może potrwać jeszcze jakieś siedem lat. A później... Mam teraz świetnego chłopaka; wysoki, dobrze zbudowany, ale to nie jest ta żyła, co Józek.

— Czy sądzono w domu, że Józek Młynarczyk zrobi światową karierę? — pytam matkę i siostrę piłkarza.

Pani Młynarczykowa opowiada, jak syna ciągnęła na wieś, do koni. Siostra uzupełnia, że lubił pomagać krewnym w pracach polowych, może w tym kierunku poszłyby jego zainteresowania? Później to się skończyło; treningi, obozy, zgrupowania zajmowały mu większość wolnego od nauki czasu. Teraz jest mistrzem Portugalii. Portugalczycy twierdzą, że jest najlepszym bramkarzem na świecie, a portugalscy dziennikarze wykreowali go na piłkarskiego szpiega.

Wnuki pani Młynarczykowej chodzą do francuskiej szkoły i obecnie lepiej porozumiewają się w tym języku, niż rodzice. Choć Józek zna francuski podobno lepiej od żony, dodaje siostra Młynarczyka. Gdy mowa o wnukach i synu przebywającym w dalekiej Portugalii, pani Młynarczykowa zaczyna płakać. Okazuje się, że już nie może widzieć jak dorastają wnuki i jak gra jej syn. Czy nie za bardzo szarżuje na boisku? — zawsze się bał, że upadnie i coś sobie zrobi. Jeszcze kilka lat temu, gdy kamera telewizyjna pokazywała na zbliżeniu twarz Józka, mama rozpoznawała wasatą twarz, teraz już nie widzi. Transmisji wysłuchuje w radiu i zawsze bardzo przeżywa. Jak się okazuje, choć pani Młynarczykowa jest słaba, starsza kobieta, to piłkarski wielokulturowość musi wysłuchać od swojej mamy surowej reprimendy za mniejsze i większe wysoki. Przecież od śmierci ojca stoi za dwójkę rodziców.

Pytam jeszcze obydwie panie jak sobie wyobrażają występ Polaków w Meksyku. Siostra Młynarczyka łapie się za głowę: „Oni tak strasznie zagrali ten ostatni mecz”.

PIOTR PIOTROWSKI

Ciąg dalszy ze str. 1

może jeszcze w czymś jej pomóc. Dorota nalega. Jak zwykle jest bardzo przejęta. To wszystko jest takie ważne.

Rano zapakuje skrzypce. Najpierw troskliwie otuli je kraciatą flanelą, po tem ułoży w futerale, a futerał umieści w podłużnej niebieskiej torbie z dermy. „Skrzypce muszą być bezpieczne”.

Te skrzypce to wcale nie jakieś Stradivarius ale instrument przeciętnej klasy, wart dziś może ze 140 tys. zł „To nie drogo”.

Stanisław Hajzer nie miał w życiu szczęścia do dobrego instrumentu. Pierwszą skrzypce kupił mu ojciec podczas okupacji. Instrumenty nie były wówczas drogie. Miał wtedy jedenaście lat. Te same skrzypce tuż po wojnie pozyczył, czy też sprzedał kłótni z kolegów. Sam — jako pupilek dyrektora Liceum Muzycznego w Katowicach — grał na pożyczonych od niego.

Nauczył się grać właściwie sam. Tylko przez parę miesięcy w rodzinnej wiosce Młuch na Śląsku korzystał z porad nauczyciela. Mówi, że tak naprawdę, to jest samoukiem.

Zaczynał na żółtych zwykłej trawy. Na liściach. Usiłował wydobyć dźwięk, z czego się dało. Miał cztery lata, kiedy tańczył przy muzyce dobiegającej się z głośnika radiowego. Ojciec jako jedyny we wsi naprawiał

radioodbiorniki, a więc w domu zawsze coś grało. Jeśli talent artystyczny trzeba po kimś dziedziczyć, to w rodzinie Hajzerów utalentowany był ojciec. Miał bez liku zainteresowań, choć był tylko kolejarzem. Pisał wiersze na wszelkie wiejskie uroczystości. Ludzie przychodzili też do niego z prośbą o napisanie listu, czy pisma urzędowego. Ojciec uprawiał sport, grywał w szachy.

Któregoś dnia, jakiś czas przed wojną, przyjechał do Młuchy. Do Hajzerów kuzyni. Przywieźli organki, niby całkiem zwyczajne, a jednak nikt nie potrafił na nich zagrać. Zostawili je na otarcie leż małemu Stanisławowi, a sami poszli ślizgać się po zamrażniętym stawie. Kiedy wrócili, mają zadowolony ich. Wygrawał na organkach przeróżne melodie...

W trzydziestym dziewiątym, kiedy uciekali przed Niemcami z Młuchy aż pod Lwów, do Mościsk, były inne instrumenty. Sporządzał je sam nad rzeką, na łacie, gdzie koczowali z całą rodziną. Te wszystkie piszczałki i fujarki nie były może specjalnie piękne, ale grały. Tam na wschodzie skończyło się dzieciństwo. Jeszcze jako bezstroski młodec przebiegał łąką wracając od gospodarza, który częstował mlekiem, a w parę godzin później, po polowaniu, które urządził na niego niemiecki myśliwiec, był już dorosły. Długo potwornego lęku i zdziwienia nie da się wymazać z pamięci.

Takiego koszmarnego balastu jest we wspomnieniach więcej. Oto krzyca przerażeni ludzie ze zbombardowanego transportu, krzyczy Żydówka, pod stopy której osunęła się zastrzelona siostra. Oto żołnierz, który uciekł z niewoli, opowiada jak to gdzieś na polu rozstrzelano ludzi, a zaraz potem pole zaoberano. „Do dziś widzę to i słyszę” — mówi Stanisław Hajzer.

Dlaczego o tym mówisz? „Miał być przecież o tym, co ważne...”

Radości... Brały się głównie z muzyki. Tyle ich było, że nie sposób tak na poczekaniu nazwać je, wyłowić z pamięci. Jest na przykład taka jedna radosna przygoda. To był chyba 1951 rok. Kwartet smyczkowy, w którym grał, zajął na konkursie w Warszawie pierwsze miejsce. Potem z Czajkowskim i Mozartem pojechali do Berlina na Festiwal Młodzieży. To była wielka, szczeniaka radość.

Kwartet fascynuje Stanisława Hajzera od zawsze. „W kwartecie jest wszystko. Najwięcej muzykowania”. Najlepszy dowód to „Kwartet Lubuski” i ponad dwadzieścia lat muzykowania z nim. W kwartecie wszyscy są równi, równie odpowiedzialni za końcowy efekt, za brzmienie utworu. Kwartet, to poza tym najlepsza forma wychowawcza — podobnie zresztą jak i inne formy muzykowania zbiorowego: zespoły kameralne, orkiestry kameralne. Do Wrocławia, na konkurs zespołów kameralnych Hajzer nierzadko przywoził znakomite grupy młodych muzyków. Właśnie we Wrocławiu otrzymał nagrodę Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków za wybitne osiągnięcia w pracy z zespołami kameralnymi. Był pierwszym, któremu przyznano to wyróżnienie.

„Ale wcale nie gorszą nagrodą był występ w „Teleranku” jego „wioliniek”, czyli zespołu kameralnego, którego członkowie mieli w sumie... dwadzieścia lat.”

Profesor Hajzer pragnie, aby na skrzypcach grały dzieci nie tylko szczególnie utalentowane. Dlatego mniej zdolnym poświęca nawet więcej czasu. Koledzy pytają czasem: „Czemu uczysz tego ośmiu”, a on nie potrafi się usprawiedliwić. To zrozumiałe, że najgorsi są uczniowie mało zdolni i do tego leniwi. Ale tych przecież najprościej byłoby wyrzucić. A to co łatwe, wcale nie musi być słusne. Dlatego on nie wyrzucił jeszcze nikogo. Bywało co prawda, że niektórzy uczniowie wykruśiali się, tracili

zapał, chęć, ale on sam nigdy pierwszego z żadnego nie zrezygnował.

Przecież gry na instrumencie można nauczyć każde dziecko. Każde nosi w sobie muzykę. Trzeba tylko umieć i chcieć wydobyć ją z małego człowieka.

Dzieci najlepiej uczą się jedno od drugiego. Zaczynają od piosenek. Najpierw śpiewają o tym, jak to miś tańczył z laleczką, a dopiero potem próbują zagrać melodię. Najlepiej, gdy akompaniuje mama. Każda może, jeśli bardzo jej zależy, nauczyć się kilku prostych nut i zagrać, czyli wystukać. Rodzice potrafią też pięknie z pociechami zaśpiewać. Choćby „Starego niedźwiedzia”...

Czasem już po kilku spotkaniach wiadomo, że dziecko ma pasję i radość grania. Mały Dawidek Kwiatkowski „dostał” od profesora na ostatnim popisie „pieć kwiatuśków”, czyli najwyższą ocenę. Profesor przeznacza ją dla tych, którzy „grają z serca, a nie tylko odgrywają nutki”.

Dzieci czują, że profesor Hajzer je lubi. Zawsze znajduje w kieszeni coś słodkiego dla małego skrzypka.

Dorota: — Profesor ma bardzo wielu uczniów. Nie wiem, czy potrafi ich zliczyć. Przyjeżdżają do niego nawet z Koszalina, ze Szczecina, Wrocławia, Opola i on jeździ do nich. Zaprządają się, ale nie ma serca odmówić.

Hajzera koncert na skrzypce

kiedy ktoś go prosi. A ostatnio wszyscy chcą do Hajzera... Gdyby zechciał, mógłby zrobić na tym majątek, ale dla niego nie jest to najważniejsze.

— W Polsce nie ma wielu dobrych profesorów — mówi ojciec Moniki Jareckiej z Bydgoszczy, dwunastoletniej laureatki lubelskiego konkursu. Monika zafalała bez reszty Hajzerowi i może dlatego wyniki ma takie świetne. Rodzice nie muszą już pilnować jej, kiedy ćwiczy. Sama bardzo skrupulatnie przestrzega zaleceń profesora. Uśmiecha się dziś na samo wspomnienie, że kiedyś mogła się go bać. „To tylko dlatego, że profesor jest taki wielki, potężny, taki duży człowiek”.

Dorota: — Nie zawdzięczam Hajzerowi? Ależ on mnie stworzył! Wszystko mu zawdzięczam!

Wszystkie mamy mówią, że profesor Hajzer nie zabija w dziecku indywidualności. Ze dla niego muzyka powinna wypływać bardziej z dziecka, niż z nut. Jego uczniowie nie są więc wierną kopią nauczyciela, jak to czasem bywa. Stanisław Hajzer spotkał podczas lubelskiego konkursu pedagoga, wybitnego zresztą, który właśnie mnożył swoje kopie. Jego uczniowie poruszają się podobnie jak on, podobnie się śmieją, tak samo prowadzą smyczek, nie mówiąc już o sposobie interpretacji granego utworu. Profesor Hajzer wcale nie twierdzi, że to źle. Tak jest po prostu inaczej niż u niego, gdzie, każdy gra tak, jak sam czuje, w swoim własnym stylu.

Dorota: — Szkoła Hajzera to nie tresura. On nigdy nie narzuca swojej koncepcji muzycznej. Uczy tylko słyszeć, a resztę zostawia nam.

Nigdy nie sądził, że zostanie jakimś wielkim pedagogiem. Wiedział tylko o muzyce, że będzie zawsze dla niego najważniejsza. Usiłował nawet podporządkować jej życie prywatne, ale to się nie zawsze udawało. Dopiero teraz wie, jak to wszystko powinno wyglądać — dom, praca. Dobrze może być tylko wtedy, kiedy towarzysząca życia jest także muzyką. To jedyne i prawdziwe wyjście. I znalazł je, choć późno.

Dorota: — Profesor Hajzer nie ma najłatwiejszego charakteru, ale nigdy nie miałam go dość. Mogłam mieć dosyć najwyższej niektórych utworów...

Ludzie mówią, że Monika Jarecka tak pięknie gra i pytają czasem profesora, jak on to zrobił. I dlaczego właśnie jemu udało się to lepiej niż innym. Ale Stanisław Hajzer nie potrafi tego wytłumaczyć.

Wyglądał co prawda odczyty na temat swojej metody nauczania, pisał też coś na ten temat, udzielał wywiadów, ale sądził, że tak naprawdę nie da się tego jasno określić. To jest ulotne.

Sukces? — „Mój sukces jest wtedy, kiedy gra Dorota, albo Jarosław, kiedy ich gra zachwyci słuchaczy, kiedy zdobywają nagrody, są dostrzegani w Polsce, w Europie.” Nagroda imienia Gerwazego Serwaczynskiego, którą przyznano mu jako pedagogowi w Lublinie, to dla niego raczej nie sukces.

To powód do radości. Jakaś satysfakcja.

Profesor Hajzer nigdy nie pojechał z Dorotą ani do Paryża, ani do Folkestone w Anglii, gdzie odniosła swój wspaniały sukces na konkursie firmowanym przez samego Yehudę Menuhina. Nie pojechał nie dlatego, że nie chciał. Finansowanie wyjazdu profesora uznano za zbędny wydatek. Dlatego nie mógł słyszeć Doroty na żadnym z tych ważnych konkursów.

Jeśli koncert lub konkurs odbywał się w kraju, profesor prawie zawsze jest wśród słuchaczy. Wierzy, że jego obecność może uczniowi pomóc. A jeśli na dodatek gra na przykład Jarosław Zolnierczyk, dochodzi wielka frajda z samego słuchania. „Jarek to klasa”. Poza tym uczeń oczekuje oceny, ostatnich uwag, wskazówek.

Dorota: — Profesor nigdy nie mówił, że gram bardzo dobrze, lepiej od innych. Raczej dawał do zrozumienia, że są lepsze ode mnie i do nich powinienem równać. To zawsze mobilizowało. „Grałaś bardzo dobrze, ale można było dwa razy lepiej” — powiedział, kiedy na ostatnim popisie grałam Wieniawskiego.

Każdy kolejny tydzień zaczyna Stanisław Hajzer o świcie. O szóstej rano siedzi już w pociągu do Wrocławia. Zajęcia w Akademii Muzycznej zaczyna o dziewiątej rano, a kończy wieczorem, również o dziewiątej.

We Wrocławiu profesor ma swojego najstarszego ucznia. Najmłodszym był trzylatek, którego uczył przed kilku laty. Znacznie wcześniej, dwadzieścia parę lat temu, miał jeszcze młodszą uczennicę, córeczkę Grażynę. Miała niewiele ponad dwanaście miesięcy, kiedy umiała już zaśpiewać kołysankę. Dziś ma już własną rodzinę i jest muzykiem, kompozytorem. Syn Artur nie przejawiał szczególnych zdolności muzycznych, ale maturę zdał z najwyższym wyróżnieniem, studiując kulturoznawstwo i uprawia wysokogórską wspinaczkę.

Profesor Hajzer pragnął niegdyś komponować. Mówi dziś, że nie starczyło mu talentu, że zabrakło czasu i odpowiednich studiów. Wszystko to było też powodem niezrealizowania innego marzenia — o dyrekturze. „Skrzypce żądają masę czasu. Chciałoby się zagrać to, czego się jeszcze nie grało, chciałoby się słuchać muzyki...”

Dorota: — Skrzypce są dla niego wszystkim. Pracuje jak galerista...

Chętnie słucha każdej muzyki. „Je to wszystko tak bardzo lubię! I muzykę dawną i Straussa i operetkową. Impresjonistów też ale romantyków również...”

Chwile wolne od muzyki? Ależ tak! Bywają. Wtedy ogląda w telewizji rozgrywki ligowe w piłce nożnej, grywa w szachy. Lubi football, ale chętnie kibicuje też szachistom. „Sport to wspaniała sprawa. To pokonywanie własnych słabości, przekraczanie siebie. To satysfakcja z wygranej i umiejętność przycięcia porażki”. Sport jest piękny i ważny, ale gdyby ktoś pozwolił mu wybrać: wyjazd na Mundial albo na znaczący konkurs skrzypcowy, wybrałby konkurs.

Tyle razy mógł wyjechać z Zielonej Góry na stałe, ale jakoś nigdy nie umiał. Tutaj mieszka tak długo i tak długo żyje. Mówi, że często się dziwi, dlaczego żyje tak długo. Jego dwaj bracia zmarli każdy w wieku dwudziestu trzech lat. On, kiedy miał dwadzieścia dwa, ciężko zachorował. Ale los okazał się łaskawy. Dał już pięćdziesiąt parę lat.

Bardzo lubi spoglądać przez okno z dziewiętego piętra świat za siebie. Niby tylko lasy, pagórki, ale wszystko to, kiedy nie spojrzeć, wygląda inaczej. Szczególnie ostatnio, w tym szalonym i pracowitym okresie dobrze jest choć na chwilę stanąć w oknie. Zatrzymać się, uspokoić, prześledzić to i owo. A myśleć jest o czym. Od niedawna profesor nosi w sobie swoje wielkie marzenie: zorganizowanie w Zielonej Górze mistrzowskiej szkoły wiolinistycznej dla szczególnie utalentowanej młodzieży. Te jednak bariery będzie trzeba pokonać, aby udało się to marzenie zrealizować...

Wczoraj poszedł spać za trzeciej. To zdarza się często. Studiował „Święty” nutowe, które wpadły mu w ręce we Wrocławiu. Przywiózł ich pełną torbę. Teraz mówi, że dźwięki w niej złota... W ogóle studiowanie partytury to wielka radość. W każdej nutce jest jakaś tajemnica, każda nuta może wyrazić... Ależ tak! Czytając nuty słyszy muzykę.

Dorota: — Profesor nie musi mnie już co prawda prowadzić za rączkę jak dziecko. Ale ja go ciągle potrzebuję. Ciągłe jestem jego uczennicą!

P.S. Dorota Siuda i Jarosław Zolnierczyk zostali zakwalifikowani do ekipy reprezentującej Polskę w Międzynarodowym Konkursie Skrzypcowym im. Henryka Wieniawskiego, który odbędzie się w listopadzie br. w Poznaniu.

ANNA BULAT-RACZYŃSKA



Jeden z wielu treningów piłkarskiej kadry przed meczowym sprawdzianem. Reprezentacyjny bramkarz przy takich okazjach wykazuje się dużą sprawnością fizyczną, a często osiąga najlepsze wyniki w grupie.

Fot. Archiwum

Pacjentkę Zofię Waleńczyk lat 59, z zawodu tkaczkę będącą od roku na emeryturze, siódmego dnia po usunięciu woreczka żółciowego w szpitalu w Zarach, znaleziono leżącą w ubikacji nieprzytomną, z rozbitą głową. Siedem dni później zmarła. „Pragniemy, by zostały potępione osoby winne jej śmierci” — piszą dwie córki i zięć zmarłej. Zarzucają szpitalowi brak opieki nad chorą oraz to, że po wypadku nie była leczona, podawano jej tylko środki przeciwbólowe. List kończy się dramatycznym pytaniem: „Czy nasza mama musiała umrzeć?”.

Zary, ulica Pokoju numer 6. Drzwi otwiera dziewczyna cała w czerni, czarne ma też włosy bujne i długie, czarne oczy, jest piękna. To Małgorzata Waleńczyk, młodsza córka zmarłej. Przed paru laty ukończyła technikum rolnicze, nie dojechała do studia. Pracuje jako szwaczka w spółdzielni „Mód”. Mieszkanie zadbane, na regale duża fotografia matki.

Małgorzata nie może powstrzymać łez. Obie ze starszą siostrą Jolantą bardzo kochały matkę, jeszcze bardziej po śmierci ojca, który przed paru laty zmarł po wypadku samochodowym.

Zofia Waleńczyk od paru miesięcy miewała bóle. Stukała wtedy w ścianę do mieszkającej po sąsiedztwu siostry Jolanty. Wtedy Jolanta, pielęgniarka z dużym doświadczeniem, zawsze miała krople, po których kolka wątrobowa mijała. Ostatni atak był wyjątkowo silny i Jolanta udała się nakłonić Waleńczykową, by poradziła się lekarza.

logów, które jeśli dobrze zrozumiała, różniły się od siebie. Neurolog — kobieta stwierdziła paraliż, natomiast wezwany do powtórnej konsultacji neurolog — mężczyzna uznał, że pacjentka reaguje na bodźce prawidłowo. W ten sposób mijały Małgorzacie godziny za godziną, raz na lepsze, raz gorzej.

Szwajnia akurat wykonywała pilne zamówienie, było mnóstwo pracy terminowej. „Zadzwoniłam, dziewczyny zrozumiały, kierownictwo mi współczuło, dostałam trzy dni urlopu i od razu już prawie nie opuszczałam szpitala. Mamusia mówiła: idź do domu i prześpij się. Ale jakże mogłabym spokojnie spać?”

W sobotę 22 lutego przyjechała Jolanta z mężem i teraz już przy łóżku Waleńczykowej siedziały, obydwie córki. Chwilami matka rozmawiała z nimi. „Bardzo chciałabym wrócić z wami do domu” — powiedziała. Kiedy zięć przyniósł obu dziewczynom kanapki z domu, uśmiechnęła się z

dzam się. W tym momencie zza korytarza głos mężczyzny powiedział: „Dobry wieczór, nie mamy nic do gadania...”

Wanda Jedlińska pracuje w zawodzie 33 lata, w tym ostatnich sześć lat na chirurgii. Ze zmarłą mówiła sobie po imieniu, odpowiadała, żyła jak w rodzinie. „Byłam jej pogotowiem ratunkowym, aż wreszcie udało mi się doprowadzić ją do szpitala, dyżur miał wtedy doktor Bliński. Uspokajałam ją przed operacją, a po operacji doglądałam częściej, niż inne pacjentki”.

Owego pechowego dnia zawiozła ją wózek na dół i po zrobieniu zdjęcia rtg przywiozła z powrotem na salę. „Potem wolniutko poszliśmy razem do ubikacji. Tam powiedziała: Wanda, nie stój nadę mą, idź i zmeł mi prześcieradło. Po pięciu minutach wracam a ona leży. Zawołałam koleżanki i lekarzy, na rękach zanieśliśmy ją na intensywną salę, gdzie włożyli ją na stół. Dostała trochę tlenku i leki, założyliśmy opatrunk na głowę. Byłam cała w nerwach...”

Jedlińska nie może sobie darować, że wtedy posłuchała Waleńczykowej i odeszła. Słyszała, co mówiła w mieszkaniu: że Waleńczykowa przeleżała na posadzce kilka godzin, niezaopatwana, bez pomocy. Nie wie, skąd się wzięły te kłamstwa.

Placze. „Mówiła do mnie: ratuj mnie Wandziu, ratuj! Nie mogę uwie-

rać, że jest nie weselo”. Zofię Waleńczyk operował doktor Suchecki, który w relacji pacjentek „przychodził w ciągu dnia, sprawdzał dren i kiedy trzeba było sam własnoręcznie go przelał na drugą stronę...”

Wyjaśnienia skierowanego przez Zakład Opieki Zdrowotnej do Głównego Lekarza Województwa:

„Postępowanie diagnostyczno-terapeutyczne prowadzone było zgodnie z aktualnymi i najnowocześniejszymi metodami (gazometria i wyrównywanie alkalozji)... Po wystąpieniu udaru mózgu sposób leczenia ustalili konsylium lekarskie, złożone z chirurgów i neurologów. Wylew krwi do mózgu nastąpił samodzielnym, w związku z napięciem tętniczym brzusznej i mógł wystąpić również w łóżku na basenie. Wielkość krwiaka stwierdzonego w czasie sekcji wykluczała szansę uratowania chorej, a fakt przeżycia tych dni po jego wystąpieniu, świadczy o wysokim poziomie i jakości działania personelu oddziału chirurgicznego dla ratowania życia chorej. Nieprawdą jest, że pacjentka leżała dwie godziny w łazience w kałuży krwi, bez nadzoru i opieki. Nieprawdą jest, że po wystąpieniu udaru mózgu leczenie ograniczono do podawania tabletek przeciwbólowych. Sposób leczenia ustalili konsylium... Zalecenia realizowała m.in. pielęgniarka, w życiu prywatnym przyjaciółka zmarłej, zatrudniona codziennie od godz. 7.00 — 15.00... Gdyby pielęgniarka ta ograniczyła się do podawania tabletek przeciwbólowych, fałszując w dokumentacji fakt podawania kropli z lekami, iniekcji domięśniowych i pobierania materiału do kolejnych badań laboratoryjnych (zmierzających do określenia aktualnego stanu chorej, z której będącego podstawą do zastosowania odpowiednich leków), należałoby ją postawić w stan oskarżenia za świadomą chęć zgładzenia chorej...”

Matki z rozmowy z głównym Lekarzem Województwa lek. med. Wiesławem Kubackim i jego zastępcą dr med. Januszem Enderle.

Czy lekarz ma prawo spać podczas dyżuru? Tak, ponieważ po dyżurze nie idzie do domu, lecz rozpoczyna nowy dzień pracy, w przypadku chirurgów, staje przy stole operacyjnym. Czy wolno mu się rozebrać? Nie ma w tym względzie przeciwwskazań. Czy fakt, że „kroplówka poszła źle”, co spowodowało obrzęk ręki mógł pogorszyć stan chorej? Nie, ponieważ był to wlew złożony z płynów, które nie resorbują. Chora nie cierpiała na nadciśnienie i nie miała żadnych objawów, wskazujących na istnienie krwiaka — mówi rodzina. Nie wszyscy ludzie starsi mają nadciśnienie, ale wszyscy mają młodzieńcze. Obecność krwiaka potwierdziła bezspornie sekcja. Lekarz wezwany przez córki umierał pacjentki siedzi nie śpiąc, czy fakt ten mógł mieć znaczenie w tym przypadku? W przypadku takich, jak zatrzymanie akcji serca, zatrzymanie oddechu czy masowny krwotok, rana ręką nawet ulamki sekundy. Tu pośpiech mógł mieć wyłącznie znaczenie psychologiczne.

Dyrektor Zakładu Opieki Zdrowotnej w Zarach dr med. Artur Jacewicz rozmawia przez telefon grzecznie, oszczędzając słowa. Tak, sprawę sobie przypomniał. Chirurgia mieści się na ul. Bohaterów Getta, ordynatorem jest doktor Karmoliński. Nazwisko zmarłej pacjentki? Żaluje, ale nie pamięta, do widzenia. Tak przebiegała moja pierwsza rozmowa z szefem zarzyskiej służby zdrowia, który, jak się okazało, jako autor wyżej cytowanego we fragmentach obszernego wyjaśnienia, musiał znać do skonała całą sprawę, włącznie z nazwiskiem pacjentki. Dlaczego rozmawiał o tym zrazu niechętnie? Może liczył, że się zmieni? Płotka bądź prawda o posmaku sensacji budzi rozmaite emocje. Może sądził, że ktoś podaje się za przedstawiciela prasy, aby go nienakłócić?

Skarg na służbę zdrowia jest w ostatnich czasach więcej, niż pochwał. Wywołanie tej smutnej sprawy, to kolejny kamień w to samo podwórko. Uderzenie odczuwa boleśnie ordynator chirurgii szpitala ZOZ w Zarach, lek. med. Zdzisław Karmoliński. Jest doświadczonym chirurgiem, wśród personelu uchodzi za wymagającego szefa, wśród pacjentów za dobrego i „czulego” lekarza, w opinii szefów za pracownika wyjątkowo sumiennego i zdolnego, przedkładającego dobro szpitala i pacjentów, nad własne interesy. Ludzie w Zarach mówią, że nie dorabia się, mieszka skromnie, jeździ starym fiatem.

„Medycyna jest bezlitosna, a czynności reanimacyjne wręcz brutalne” — powiedział dr Enderle — „aduby chirurgów się rozkładają, nie mogliby wykonać amputacji”. Wszystko to prawda, ale kiedy ktoś ukochany odchodzi, bliscy przeżywają ból nie do opisania. I wtedy wszystko się liczy: najmniejszy przejaw pomocy, troskliwe krzątanie się, pospiech, gorliwa troska o chorego, także współczucie i dobre słowo. Gdyby wszystkiego tego nie było, to byłoby może aż tylu wątpliwości...



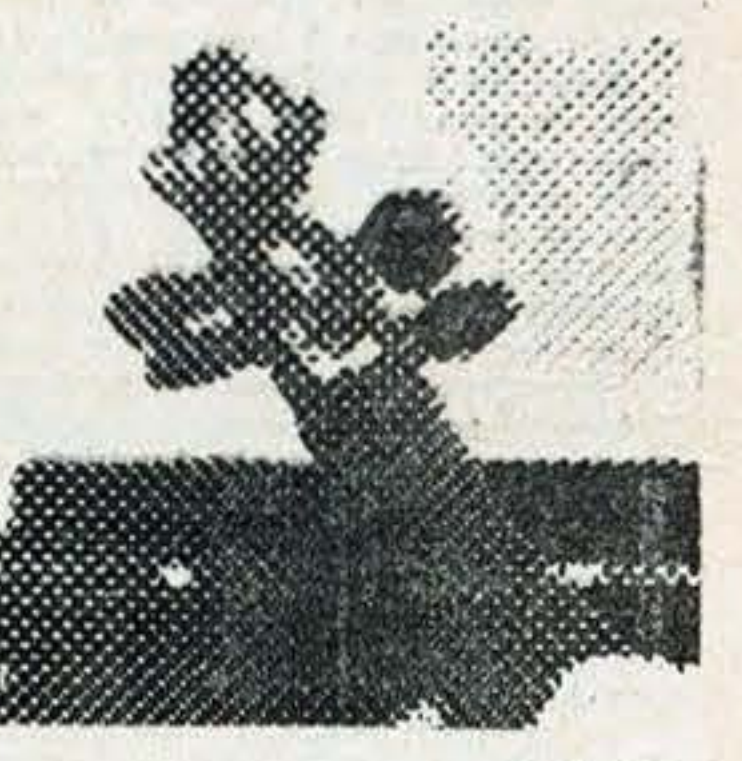
ZARZYSKA INAUGURACJA

Kronikarze życia kulturalnego Zarzyska mają do odnotowania ważną datę. Oto w czwartek, 17 kwietnia, prof. Stanisław Hajzer — jako kierownik i jego orkiestra kameralna, koncertująca od niedawna jako Orkiestra Kameralna im. G.F. Telemana, dał swój pierwszy w Zarzysku koncert, który odbył się w pięknej sali nowego Klubu „Dekory”. Nazwisko Telemana, sławnego kompozytora Baroku, jest mocno związane z Zarzyskiem. Tu bowiem działał przez kilka lat jako kompozytor i kierownik orkiestry u hr. Promnitzów. Już od pewnego czasu prof. Hajzer zapowiadał utworzenie zespołu kameralistów i zamiar nazwania orkiestry imieniem sławnego artysty, który przed ponad dwustu laty — działał właśnie w Zarzysku. Stanisław Hajzer tworząc orkiestrę, przyjął — jak się wydaje — jedynie słuszną alternatywę: mianowicie, swój 16-osobowy zespół utworzył z najbardziej uzdolnionych młodych muzyków, którzy w większości kształcili się lub kształcą pod jego kierunkiem. Są to utalentowani instrumentalniści nie tylko z Zielonej Góry, ale także z Zarzyska (w chowankowie tuł. Państwowej Szkoły Muzycznej) i innych miast. Ta piękna i cenna inicjatywa wybitnego artysty i pedagoga lubuskiego zasługuje na męcenat i serdeczne poparcie, którego wypada upatrywać nie gdzie indziej, jak właśnie w Zarzysku. Zespół młodych artystów, pięknie brzmiący, cechuje entuzjazm i radość muzykowania. Wykonano: Concerto Grosso G-dur G.F. Haendla, Koncert na dwa skrzypce i orkiestrę kameralną d-moll J.S. Bacha oraz A. Vivaldiego Koncert a-moll na dwa skrzypce i orkiestrę. Ponadto wykonano utwory Witolda Lutosławskiego i Narcyza Żołnowskiego.

Solistami koncertu byli młodzi artyści zielonogórscy: Dorota Siuda, Jarosław Żołnowski, prof. Stanisław Hajzer (skrzypce) oraz utalentowana wiolonczelistka Agnieszka Gasiorek. Prof. Hajzer, stosując swoje cenne i skuteczne metody pedagogiczne i tym razem wprowadził do programu ulubione innowacje, prezentując w popisach solowych, bardziej uzdolnionych swoich uczniów, którzy, być może, w przyszłości zasila orkiestrę kameralną. I tu wyróżniła się robiąc szybkie postępy, 10-letnia żarowianka, skrzypaczka Eliza Szubert, która ładnym, szerokim tonem wykonała etiudę F. Fiorillo. Przede wszystkim jednak, gorący aplauz widzów przysłały solowe popisy młodych wirtuozów D. Siudy i J. Żołnowskiego — wychowanków prof. Hajzera (kaprysy Paganiniego i Wieniawskiego). Tych dwoje zielonogórskich skrzypków cechuje gra artystycznie dojrzała, pełna polotu i ekspresji, piękny ton i wyborna technika. Ostatni szczególnie sukces młodych artystów, to zakwalifikowanie się ich do udziału w najbliższym poznańskim między narodowym konkursie skrzypcowym im. Henryka Wieniawskiego. Bez wątpienia, poznańskie zmagania zielonogórskich artystów o prymat w najbliższym konkursie, melomani śledzić będą z emocjami.

Myśli piszącego o koncercie mimo woli ulatują w monumentalne mury wież czającego na odbudowę zarzyskiego pałacu Promnitzów. Zanim jednak doczekamy koncertów w dawnej rezydencji, zarzyscy melomani witają ją już wkrótce kameralistów prof. Hajzera w nowej, pięknej auli Państwowej Szkoły Muzycznej, budo wanej przy placu Łużyckim.

HENRYK KRAJEWSKI



Graf. L.H.

dla czego umarła?

Hallna Ańska

Zaprowadziła ją od razu na oddział chirurgiczny, gdzie sama pracuje. Waleńczykową pozostawiono w szpitalu i wkrótce wyznaczony został termin operacji.

Małgorzata pokazuje zawiniętą w gazę garstkę kamieni: są małe, obie, płaskie, teraz już osobliwe pamiątki po matce. Pozbicie się ich z organizmu oznaczało koniec napadów bólu. Trzeba było tylko przecierpieć trudny dla pacjenta okres pooperacyjny, dla Waleńczykowej lżejszy do zniesienia, biorąc pod uwagę fakt, iż na oddziale pracuje na dziennej zmianie jej serdeczna przyjaciółka.

Małgorzata przychodziła do szpitala po pracy i siedziała do późnego wieczora. Cieszyła się, że matka powraca do zdrowia i marzy głośno o dniu, w którym wreszcie spuści nogi z łóżka i zrobi parę kroków. Waleńczykowa opowiadała współtowarzyszkom w sali o córce: młodszej Małgorzacie, mieszkającej w Warszawie starszej córce Jolancie, o zięciu, który jest reżyserem filmowym, wreszcie o małym przyjeździe na świat wnuka.

W poniedziałek 17 lutego Małgorzata po raz pierwszy ugotowała matkę trochę zupy. Była godz. 17.00 gdy z termosem weszła na salę i z przerażeniem zobaczyła, że łóżko matki jest puste. Akurat odbywała się popołudniowa wizyta i lekarz, wysoki, z czarnym wąsem, poklecił jej zacząć w korytarzu. Od niego dowiedziała się, że matka leży w izolatce, ponieważ doznała wylewu krwi do mózgu.

Przebieg wydarzeń zrelacjonowały Małgorzacie pacjentki, wstrząśnięte i wystraszone. Otóż rano Waleńczykowa powieszono na wózku do rentgena. Po powrocie wyraziła życzenie pójścia do w.c. Przez chwilę w sali trwała ogólna rozmowa, czy Waleńczykowa ma iść, czy nie. Większość była zdania, że może przejść tych parę metrów, przy pomocy pielęgniarki. Jedlińska wzięła przyjaciółkę pod rękę i zaprowadziła do ubikacji, po czym wróciła sama i zajęła się prześcieleniem jej łóżka. Co było potem, pacjentki pamiętają niedokładnie. Słyszały zdenerwowane głosy i zamieszanie w korytarzu. Wiadomo im, że Waleńczykowa zemdliała i uderzyła głową o kant drzwi, dostała wylewu.

Matka leżała w izolatce z opatrunkiem na głowie i podłączoną kroplówką do lewej ręki. Otworzyła oczy i powiedziała: „upadłam”. Małgorzata natychmiast zauważyła, że reka, do której splota kroplówka, jest bardzo spuchnięta. Pobiegnęła po lekarza, który obejrzaawszy rękę powiedział, że „kroplówka źle poszła”. W wyniku tych oględzin przyszła pielęgniarka dyżurna i zmieniła rękę pod kroplówkę, z lewej na prawą.

Dotychczas Małgorzata nie informowała swej siostry Jolanty o chorobie matki, gdyż Waleńczykowa obawiała się, że taka wiadomość może być niekorzystna dla zdrowia córki, będącej w piątym miesiącu ciąży. Teraz Małgorzata postanowiła mimo wszystko siostrze zawiadomić. Wysłała najpierw list do szwagra, potem telegram już do siostry.

Cora skarżyła się na silne bóle głowy. Nie uśmierzało go masowanie skroni, ani przykładanie lodu. Pomagał zastrzyk, lecz na krótko. Zdążył się chwile, gdy Małgorzacie wydawało się, że następuje poprawa. Powtórzono jej opinie neuro-

podziwem: „Ze też udało ci się przejść przez portiernię!”

Jolanta rozmawiała z ordynatorem, który powiedział wyraźnie o istniejącym zagrożeniu życia. Tymczasem w niedzielę 23 lutego widać było u chorej pewną poprawę. W poniedziałek wczesnym rankiem Małgorzata wróciła ze szpitala do domu, wzięła przysięgę i poszła do pracy. Przy matce została Jolanta.

Po południu matka skarżyła się na ból głowy tak ostry, że nie do zniesienia. „Poszłam do ordynatora prosić o jakieś — lekarstwo. Zlecił dwie pigułki, które podałam mamusi rozpuszczone w herbatce”. Ponieważ nikt się chora nie interesował, Małgorzata zeszła na parter do ordynatora, który tego dnia miał pełnić dyżur przez całą dobę. Poprosiła aby coś zrobił w celu ratowania matki. Ordynator zajęty pisanem na maszynie, powiedział, że Waleńczykowa zaraz dostanie lekarstwo w iniekcji. Istotnie wkrótce przyszła pielęgniarka z zastrzykiem. „Po godzinie ordynator wszedł do izolatki, stwierdził, że matka żyje i wyszedł”.

Zbliżała się północ, gdy Jolanta zwróciła uwagę Małgorzacie na zmieniony oddech matki. Zaczęły obie nasłuchiwać. Waleńczykowa spała lekko charcząc. Wszystko, co nastąpiło potem, było dla obydwu młodych kobiet niezmiernie straszliwe, bolesny sen.

„Jolanta krzyczy: mama umiera! Ja wolam pielęgniarkę. Pielęgniarka staje w drzwiach, patrzy i wychodzi, aby zawołać drugą siostrę dyżurną. Proszę jej powiedzieć, że matka żyje! Jedną z nich mówi: zaraz po niej zadzwonię. Po paru minutach wróciła i oznajmia, że nie może się dozwonić, pewnie pan doktor śpi. Biedni też sama, z pietra po dwa, trzy schodki, stukam do drzwi, cisza, stukam jeszcze i jeszcze, coraz mocniej. Ordynator otwiera, a ja do niego: panie doktorze, moja mama się dusi! Zaraz, tylko się ubiorę, mówi ordynator. Czekam, mija dziesięć minut, piętnaście. Wreszcie drzwi się otwierają, jest ordynator, idzie ze mną na górę. Ale uwalę się nie spieszyć, więc wolam z płaczem: panie doktorze, błągam pana, prędzej, tam moja mama umiera!”

Ordynator zarządził założenie chorej aparatu odsysającego i kazał przynieść aparat tenowy. Pielęgniarka wróciła mówiąc, że nie może znaleźć, więc poszedł sam i wrócił z aparatem. Małgorzata i Jolanta stały w tym czasie na korytarzu. „Patrzyliśmy przerażeni, jak ona obojętnie i potulnie poruszała. Kiedyś dawałam na medycynie. Jakże teraz żałowałam, że wówczas mi się nie powiedziało, że byłabym już sama lekarzką i mogłabym pomóc mamusi!”

Po ubłwieniu pół godziny ordynator raz jeszcze zabrał do izolatki. „Z tego twierdzi i wyrażałam zdziwienie, że mama jeszcze oddycha”. Zawołał, czy siostra nie potrzebuje środka uspokajającego. Odpowiedziały: „Móć pan ratować naszą mamę, ody było można, a teraz proszę nas zostawić w spokoju”. Zofia Waleńczyk zmarła o godz. 0.45. Był to już wtorek 25 lutego. Pielęgniarka zastrzegła, aby zmarłą nie ubierać, ponieważ będzie sekcja. Małgorzata i Jolanta nie chciały sekcji. Ale kiedy rano zawiąły się w szpitalu, aby odebrać ciało, lekarz, którego zastąpił w pokoju oświadczył, że sekcja być musi. „Była na to, że nie spa-

rzyć, że nie żyje. Była wspaniałą kobietą, pełną dobroci i humoru. Kochałam ją, jak siostrę...”

Odzisała Zofia Gwóźdź na oddziale chirurgii pracuje 32 lata. Ona również była sąsiadką Waleńczykowej, z górą 20 lat na tym samym korytarzu, drzwi vis a vis. Jak także dosięgała teraz opowieść o pacjentce, która zmarła w szpitalu w wyniku niedopatrzności. Do córki przyjechała koleżanka i mówi: „wiesz Bożenka, Małgorzata Waleńczyk ma żal do chirurgii, bo jej mama leżała w brudzie i bez opieki...”

Zdaniem Zofii Gwóźdź, są to plotki roznoszone przez ludzi. „Rodzina pacjentki nie zgłaszała żadnych pretensji. Zarzut, że na oddziale brudno, jest całkowicie bezpodstawny. Przeciwnie mamy opinie oddziału czystego, bo naprawdę bardzo się wszystkie staramy...”

Skarga córek zmarłej na brak opieki? „Proszę pani, ludzie różnie reagują w rozpaczy, widziałam to nie raz. Ubikacja jest w przejściu, pół metra od gabinetu ordynatora i trzy metry od sali. Panuje tu stały ruch. Ponieważ jest tylko jedno „oczko”, miejsce to jest nieustannie odwiedzane. Pacjentka mogła leżeć niezaopatwana najwyżej pięć minut. A co do leczenia? Zrobione zostało wszystko, co było można. Opinię w tej sprawie może pani zasięgnąć u pacjentek, które wówczas u nas leżały...”

Kobiety, które w okresie od 30 stycznia do 25 lutego przebywały na oddziale chirurgii, w szczególności w sali razem z Zofią Waleńczyk, dziś są już zdrowe. Nie znaczy to, że jutro lub pojutrze znów nie znajdą się w szpitalu, jeśli nie one same, to może ktoś z bliskich, takie jest życie. Wiele nie chcą mówić. Chyba, że potraktują je całkowicie anonimowo.

Z wypowiedzi kilku byłych pacjentek można wywnioskować przede wszystkim to, że Zofia Waleńczyk była lubiana zarówno przez współmieszkanek sali, jak też przez personel oddziału, z jej przyjaciółką Wandą Jedlińską na czele. Widziano parokrotnie, jak „siostra Wanda” zmieniała Waleńczykowej koszulę i poprawiała łóżko.

Jedną z pacjentek twierdzi, że krytycznego dnia, po powrocie z gabinetu rtg, Waleńczykowa, prowadzona do łazienki przez Jedlińską, mówiła, że czuje się źle, na co Jedlińska odpowiedziała: „to dlatego, że pierwszy raz stanęłaś na nogi”. I dodała, że po powrocie z w.c. z pewnością poczuje się lepiej.

Scieśnienie łóżka przez Jedlińską trwało parę minut. „Ciekawe jak tam nasza pani Zosia się czuje?” — odezwała się jedna z pacjentek. W parę sekund potem już było wiadomo, co się stało. „Stałam w korytarzu i widziałam, jak Zofia Waleńczyk podnosiła, a następnie niesiona do izolatki. Nie widziałam krwi ani na jej głowie, ani na posadzce...”

„Czysta na oddziale jest i nie brakuje obsługi, ale jest też opieszałość, trzeba o wszystkim wolać”. Opinie o lekarzach i opiece lekarskiej na oddziale chirurgii, są bardzo dobre. Wszystkie pacjentki chwalią ordynatora i odnoszą się do niego z zaufaniem. Współczują również córkom zmarłej, jak też ordynatorowi „Jani-

CZY JEST AŻ TAK ŻŁE?

Z mieszkanymi uczuciami przeczytałem opublikowaną w nr. 8 „Nadodrze” dyskusję o stanie narodowej i regionalnej, to znaczy zielonogórskiej kultury. Dyskusja ta, prowadząca niemal do jednoznacznego wniosku o całkowitym regresie kulturalnym kraju i województwa, spowodowanym ograniczeniem środków na tę sferę działalności, budzi uzasadniony, jak sądzę, sprzeciw.

Jestem daleki od postawy „hura optymistycznej”, niemam jednak, że dla

do nich twierdzenie o bardziej interesującym, niż obecnie, życiu kulturalnym miasta przed 30 laty.

Sądzę również, że we właściwych poręczach należy widzieć powojenną działalność ruchu amatorskiego zielonogórskich zakładów pracy. Ruch ten wypełniał pustkę w powojennym życiu kulturalnym i wraz z powstaniem profesjonalnych instytucji kulturalnych i środowisk artystycznych jego rola i znaczenie uległy zmianie i ograniczeniu. Niewielkie prywatne wypożyczalnie książek za stopione zostały przez sieć filii WIMBP, teatr „Reduta” przez teatr państwowy, podobnie amatorska orkiestra symfoniczna przez Filharmonię. Nasza pozytywna ocena powojennego ruchu amatorskiego kłóci się zresztą z oceną ówczesnych uczestników imprez amatorskich. W prasie z tamtych lat przeczytać można krytyczną ocenę życia kulturalnego miasta, którego społeczność skazana była na występy amatorów. Wręcz domagano się częstszych wizyt i występów profesjonalnych zespołów artystycznych. Konkludując ten wątek należy powiedzieć, że ży-

chodzącym socjalizmem. Kultura przysięgała na siebie rolę integrującą wyniszczoną i przemierzającą się masę ludzką. Pełniła rolę niemal taką samą, jak religia. Jej siła tkwiła w utożsamianiu się z rewolucją. Ukazywała socjalizm jako wartość porównującą. Kierunek ten objawił się w tysiącach dzieł i w żywiołowej twórczości artystów i amatorów. Jej ujmująca wartość tkwiła też w ukazywaniu nieprawdy! W treściach była osobowa, ekspresyjna i rzeczywiście nowa... Uzasadnienie tych stwierdzeń wyrażałyby więcej miejsca.

W każdym razie obecnie — nastąpiło wyciszenie. Dla bardzo wielu działaczy i artystów — socjalizm przestał być impulsem i celem walki o wolność, chleb i sprawiedliwość. Zaspokojenie tych podstawowych wartości, zwłaszcza we współczesnym pokoleniu, niejako odebrało twórcom oręż, a kulturę pozbawiło uogólniających ją idei. Równocześnie zmieniły się formy odbioru zjawisk kulturalnych. Na przykład — gigantomania haseł, będących zwykle pustostawami, skandowanie w

głoszone. Co dobre wychowanie, to dobre wychowanie.

W lipcu 1976 roku urodził się mój synek Cyprian Leszek, a kilka miesięcy wcześniej teatr w Zakładowym Domu Kultury „Odra” w Nowej Soli. „Terminus a quo” powstał z niepokojem twórczym, potrzeby przeżywania pełniejszego, bogatszego życia, skumulowanych w osobie Edwarda Gramonta. Udało mu się do tej zabawy kulturalnej porwać innych zapalczyków. Teatr po pierwszym spektaklu, pierwszej realizacji „Poema tu o zbawieniu świata” dostał wilczy bilecik. Czyli zakład zatrudniający ludzi odpowiedzialnych za kulturę okazał się ignoransem. W swoim istnieniu teatr poniewierzył się po miejscowościach: Głogów, Nowe Miasteczko, Koźuchów, aby na koniec znaleźć sponora i siedzibę w Nowosolskim Domu Kultury „Budowlani”. W bieżącym roku Teatr „Terminus a quo” obchodzi swoje dziesięciolecie istnienia. Mimo tyłu burz i naporów ostał się na mapie kulturalnej kraju. Za ten upór i wytrwa nie zasłużył na order zasługi... Można i tak.

Przecież powinnością każdej placówki kulturalnej jest skupianie w swoich podwojach ludzi intelektualnie, społecznie, twórczo niespokojnych. Bo tacy ludzie tworzą na podwalinie starego, no we życie kulturalne. Stare stwierdzenie „za nami pójdą inni” może być tylko wówczas brane pod uwagę, gdy wszystkie czynniki pracy i tworzenia są sprężnione w jedną mądrą politykę społeczno-kulturalną.

Opowiadał mi znajomy, że gdy był młodziekiem w krótkich porciętach, zgłosił się po anonsie prasowym do placówki kulturalnej, aby zapisać się do sekcji fotograficznej. Wziął go wówczas instruktor na bok i powiedział mu: „Słuchaj synku, nie zawsze trzeba wierzyć w to, co pisze prasa. Bądź miły i sprytny”. Nie głoszący się, że jest bardzo dobie, bo tak nie jest. Nie udawajmy przed innymi, że jest dobrze, bo jest koszmarnie. Nie wymyślajmy bajeczek, że wielość placówek kulturalnych stanowi o kulturze społeczeństwa, bo tak nie jest. Nie dajmy zwodzić się suchej sprawozdawczości, bo cyfry to nie lu-

dzie. Nie udawajmy czegoś, czego nie ma. W trzy „S” zostały wprowadzone prawa dżungli.

Z autopsji: Był taki czas, gdy Klub Pracy Twórczej „Formaty” sfederowany był i jest przy Towarzystwie Przyjaciół Ziemi Świebodzkiej. Ale prawa da wyglądała inaczej, gdyż od końca roku 1974 do 1979 roku „Formaty” skupiało Muzeum Regionalne. To właściwa postawa dyrektora Mieczysława Bohdana pozwoliła przeżyć jeden z kryzysów. To właśnie muzeum w tym czasie udostępniło swoje sale na spotkania, wystawy. Wszystkie wydawnictwa w tym okresie opłacane były i wydawane przez muzeum. Można i tak.

Uważam, że nie można przemilczeć faktów oczywistych. Nie dla siania fermentu, niepokoju, zaognienia. Dla prawidłowej uprawy tej pięknej niwy, nie może być sprzeczności w faktografii. Powiedzenie prawdy niech posłuży za reanimację i rehabilitację. Żyje się z ludźmi i zasadami. Oczywiście, jeżeli się je posiada.

Słyszałem, że kiedyś, gdy zawiązał się triumwirat twórców nieprofesjonalnych z Koźuchowa Świebodzina i Zagania, na jedno ze spotkań w Świebodzinie „formatowcy” zebrali składkowe pieniądze na herbatę, żurek i bułki. Później okazało się, że za bułki i żurek organizator tego posiłku wystawił jeszcze rachunek.

Podobno niedawno wycięto kilkanaście zdrowych drzew, bo szyskuje się pięter rzeźbiarski. Ciekawe, że dokonano no tej egzekucji drzew w obecności tych, którzy te drzewa sadzili. Oświeśle Widok podzieliło się na dwa antagoniczne obozy. Wszystko dla dobra miast kanców.

Ja na ten przykład dostałem swego czasu nagane w dawnym miejscu pracy za to tylko, że odmówiłem przeproszenia sprawozdawcy społecznego w czasie swoich godzin pracy. Niebawem zorganizowano kolejkę do tego kuriozum. Płacę jej dodatkowo. A robiła to w czasie swoich godzin służbowych.

Teatr „Terminus a quo” ma 10 lat. Mój synek Cyprian Leszek ma 10 lat. KPT „Formaty” licza 17 lat.

LESZEK FREY WITKOWSKI

DIALOGOWO O KULTURZE CIĄG DALSZY

przedstawienia realistycznego wizerunku polskiej kultury współczesnej konieczne jest użycie bardziej zróżnicowanej skali barwnej. Zwraca przecież uwagę, że w ostatnim trzyleciu produkcja wydawnicza była, pomimo kryzysu i złego stanu bazy poligraficznej, najwyższa w całym powojennym czterdziestolecu. W tym samym czasie biblioteki publiczne w woj. zielonogórskim dokonały największych zakupów nowości wydawniczych w okresie swojej dotychczasowej działalności. W latach 1981-1986 utworzono dziewięć nowych bibliotek, krąg czytelników zwiększył się o 9.700 osób, a wypożyczenia o 418 tys. woluminów. W samej Zielonej Górze ilość książek zgromadzonych w bibliotekach (wszystkich sieci) osiągnęła milion tomów.

A przecież pozytywne tendencje charakteryzuje również rozwój zielonogórskiego muzealnictwa, o czym świadczy otwarcie w ubiegłym roku Lubuskiego Muzeum Wojska Polskiego, a w latach poprzednich Muzeum Archeologicznego Środkowego Nadodrza i Muzeum Etnograficznego. Do tej niemałej liczby placówek muzealnych dodać należy Muzeum Książki Środkowego Nadodrza, stałą Galerię Polskiej Ilustracji Książkowej, Galerię i Wypożyczalnię Malarstwa, Rysunku i Grafiki oraz otwarty, również w ubiegłym roku w WIMBP — gabinet (mini muzeum) Eugeniusza Paukazy.

Czy stan ten można nazwać regresem lub zastojem, jeżeli jeszcze dodam, że na cele Muzeum Historii Zielonej Góry adaptuje się równocześnie jedna z kamieniczek na starym mieście? W ostatnim okresie ożywiona działalność wystawiennicza przejawiała — obok Muzeum Ziemi Lubuskiej — powstała przed kilkunastu laty Galeria Pracowni Sztuki Plastycznej. Galeria Wyższej Szkoły Pedagogicznej (interesująco prowadzona przez dr. Franciszkę Pilarczyk). Galeria KMPiK-u oraz Galeria „Pro libro” WIMBP, w której tylko Towarzystwo Przyjaciół Zielonej Góry zorganizowało w ubiegłym roku cztery duże ekspozycje, cieszące się niemałym zainteresowaniem zwiedzających. Bez zbędnej przesady można powiedzieć, że ilość i różnorodność w ostatnim okresie interesujących ekspozycji plastycznych (i innych) uznajeć można za rekordową w okresie powojennym. Inna rzecz, że nie wszyscy to dostrzegają.

Swoją dobrą okres przeżywa również Filharmonia Zielonogórska, której zespoły kameralne prowadzą ożywioną działalność koncertową w terenie, przede wszystkim w placówkach szkolnych. Znane są również sukcesy młodzieży Szkoły Muzycznej, odniesione na krajowych i zagranicznych konkursach. Warto dodać, że w ostatnich latach zwiększyła się również skala zakupów prac plastycznych, dokonywanych przez instytucje państwowe, przede wszystkim przez Muzeum oraz WIMBP i Bibliotekę Główną WSP. Poszerzenie zakresu działania i nowe inicjatywy zielonogórskich instytucji kulturalnych wymagały, oczywiście, zwiększonego funduszy. Trudno więc w tej sytuacji mówić o drastycznym ograniczeniu funduszy na działalność kulturalną.

Tyle jasnych barw zrzuconych tu przykładowo na ciemną naletę, jaka postać dyskutantom do scharakteryzowania zielonogórskiej kultury. Ci ostatni nie ustrzegli się również niewnych, niesłusznych zresztą resentymentów. Należy zaliczyć

do kulturalne miasta wskutek istotnych zmian jakościowych jest obecnie nieporównywalne nie tylko z sytuacją okresu powojennego, lecz również lat pięćdziesiątych.

Nie oznacza to jednak, jakoby w tej dziedzinie nie występowały poważne niedostatki. Niepokoją od lat złe warunki Szkoły Muzycznej, jak również sytuacja teatru. Ostatnio okazało się, że Narodowy Fundusz Kultury, którego utworzenie za pisac należy na dobro władz centralnych nie jest bez dna i wymaga racjonalnego i oszczędnego gospodarowania. Niektóre decyzje Ministra Finansów fatalnie odbijają się na możliwościach pracy społecznych ognisk muzycznych, wydłuża się (i tak dotychczas długi) cykl produkcji książki, w dalszym ciągu zakup bardziej atrakcyjnych pozycji wydawniczych następcza trudność ci lub jest wręcz niemożliwy, itd. Oddajmy jednak sprawiedliwość tym, którzy do obrazu naszej regionalnej i krajowej kultury wnoszą barwy jasne, napawające ostrożnym optymizmem.

GRZEGORZ CHMIELEWSKI

POTRZEBA EMOCJI

Niedawno, późnym wieczorem znalazłem się w zatłoczonej auli Technikum Samochodowego w Zielonej Górze na „Stachuradzie 86”. Sala nabitą młodymi ludźmi z całego kraju, zasłuchana w słowa Stachury...

Skąd ów głód? — narzuca się pytanie. Teraz, w okresie powszechnego biadolenia o upadku działalności kulturalnej, aż tak wielu jej wyznawców?... A stwierdzamy, np. w „Dialogach o kulturze”, („Nadodrze” nr 8) że mamy coraz mniej bibliotek, wydawnictw, pieniędzy i ludzi chętnych do działalności artystycznej i coraz mniej jej odbiorców.

Krytyczny osąd stanu kultury, także tu na Środkowym Nadodrze jest nadzieją, że szybciej w ten sposób określi się jej miejsce i rolę, jaką powinna ona aktualnie pełnić. I to jest dobrze. — Konieczne jest jednak uwolnienie się od skłonności do uproszczeń i schematów. Nie wszystko zło da się bowiem wyjaśnić na przykład brakiem pieniędzy... Mówiąc bardzo skrótowo — kultura zawsze w przeszłości i obecnie wyrastała na gruncie cech charakterystycznych dla danej epoki. Przypomnę, że w Oświeceniu miała ściśle powiązaną z racjonalizmem, w Klasycyzmie — karmiła się wzorami antycznymi, w dziewiętnastym i dwudziestym wieku była buntem przeciw industrializacji i urbanizacji. Później toczyła bój z frazeologią faszyzmu, a przyjechała w Polsce, po 1945 roku rolę służebną wobec przemian społeczno-ekonomicznych. Identyfikowała się wtedy z nad-

sportowych salach i na stadionach — zastąpił model intymnych przeżyć.

W masie pojawił się cynizm, ociekający głębszym przeżyciem człowiekiem. Po jedynym człowieku. Począł on uważnie wsłuchiwać się w to, co naprawdę ma mu do powiedzenia współczesny twórca. Masowy charakter konsumpcji kultury przestał imponować. Pojawiała się potrzeba zaspokojenia innej wrażliwości, a także utożsamienia indywidualnego losu z rzeczywistością, od której oczekuje się pełnego rozwoju aspiracji materialnych i duchowych społeczeństwa.

Właśnie w tym nurcie należy dziś doszukiwać się wielkiej szansy kultury. Nie przybliża jej jednak dotychczasowe, wygodnictwo, rozległa baza materialno-techniczna. Sztuka biorąc swój rodowód w lukrowanej codzienności, pozująca na cierpiętnictwo, nie podlega wrażliwego odbiorcy. Zresztą zawsze ułatwienia działalności kulturalnej były wrogiem jej rozwoju i oryginalności. Wiemy przecież, iż kłopoty i trudności życiowe wielkich mistrzów były dla nich nawet dopingiem.

Nie lekam się więc o perspektywę rodzimej kultury. W konfliktach, starciach, niepokoju powstaje przyszła jej jakość. — Niewątpliwie, decydenci i pieniądże też mają znaczenie, ale tylko wtedy, gdy przemiany zostaną przez nich zauważone i kiedy ułatwiają rozwój niezafalszowanego obrazu naszego świata. Konieczne jest też zrozumienie, iż ujawnianie „nieznanych” w sferze sztuki — wypływa stąd, że artyści — profesjonalści i amatorzy są kreatorami. Muszą więc oni mieć możliwość narzucania własnych wizji. Muszą wychodzić naprzeciw oczekiwaniom ludzi, u których wzrasta dziś wielki głód emocji. W coraz bardziej zwulgaryzowanej codzienności człowieka chcę usłyszeć do niego skierowany głos: „Nie bój się, nie jesteś sam”. W ogóle kraj potrzebuje odruchów serca, spychanych coraz bardziej na aut — walka o „mię”, o „moje ja”, o moje racje.

Spotkanie z młodymi wyznawcami Stachury, zasłuchanymi w nowy język poezji człowieka — umacnia w przekonaniu, iż szansa ożywienia kultury tkwi w czułości i miłości. — bez której stoczmy nasz dom jak robaki toczą nawet potężne drzewa.

TOMASZ FLORKOWSKI

KONSTELACJE GWIAZD

W niepamięć bardzo szybko uchodzi wiele spraw, w szczególności ci na niwie kultury. Kultura i sztuka dla wielu ludzi jeszcze dzisiaj jest to sprawa enigmatyczna.

Stąd często krótka notka prasowa, felieton, reportaż, omówienie imprezy jest zapisem trwałszym niż przekaz ustny, czy plotka kulturalna, serwowana u Kazimierza na imieninach. A wszystkie archiwa kulturalne są niezmiernie wdzięczne, gdy takie prasowe wycinki uda się zdobyć. Jako przykład niech posłuży Archiwum Towarzystw Regionalnych w Tarnowie, które za przesłane archiwalia prasowe łączące Klubu Pracy Twórczej „Formaty”, teatr „Terminus a quo” przepisał mi piękne podzi-

Władysław Łazuka

Czytanie nocą

Wojciechowi Czerniakowskiemu

Jest rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty piąty dwudziesty drugi listopada z piątku na sobotę za dwadzieścia minut godzina dwudziesta czwarta za oknem śnieg mgła odwilż pusty karmnik dla ptaków światło latarni na półce milczy maszyna do pisania której nie mam niech będzie i tak Dostojewski Bursa Jalu Kurek Leopold Buczkowski Vincenz Edward Stachura w pięciu tomach czekają na słowo tę noc spędzam z Wojciechem Czerniakowskim którego nie znam osobiście A szkoda... Prawda... myślę tomik wierszy Jest już chyba kobietą czytam po raz emty Dziennik z zapomnienia Puszkina w Paryżu Katedra w Kolonii — niby proza a z książki w książkę coraz więcej Poezji czytam rozumiem czytam niedługo minie północ ta godzina duchów do wnętrza pokoju dociera stukot i szum dalekobieznego pociągu — myślę czytam ale cóż czas kiedy spotyka się prawdziwego poetę czymże jest czas i godzina pierwsza druga trzecia czwarta nowego dnia kiedy z książek wygląda człowiek — brat i przez radosny śpiew krwi słychać bicie serca



RYS. RYSZARD BUCZKOWSKI

Mój głos jest nieco niepewny... Bez należytego entuzjazmu... Pozna się... Ale nie, kobieta z zasady nie poznaje się na niczym... Jej wszelkimi potrzebami nazywam, monumentalny, kosmiczny, chro- ni ją skutecznie... Albo też jest awansem przy- znanym, niezależnie od sytuacji... Albo też prze- konana o działaniu fatalizmu... Przeważnie zresz- tą nie bez racji... Wibracje, mediumizacja, do- chodzi i do tego, że księżki zaczynają chwiać się w posadach, pada urok, pojawia się niepokój, kimkolwiek by facet był, choćby nawet najwię- kszym homoseksualistą, profesjonalistą... Tym le- piej. Elementy zjawisko matki... Zjawisko u- kryte przyczynowości... Wszystkie lub nie, nigdy „być może”... Chce, żebym jej przagnął, i nawet nie wpadnie na myśl, że mogłabym jej nie pra- gnać... Chyba że... Trudno powiedzieć... Może spo- strzeżę mój odruch niechęci, rezerwę... A ja już widziałem rozkręcający się, pełną parą film... Karczma, ogród, stoły pod drzewami, rzeka, łódka, łazienka... Pierwsza chwila, mimo wszyst- ko wzruszająca, moja ręka w jej spodniach, pa- lec wsuwa się w jej szpilkę... Ona tak pewna siebie... I ich wszystkich... Wilgotna wilgotność pierwszych chwil...

A tak swoją drogą, co ona potrafi? Usta za- ciśnięte, siekaczki nieco skrzywione... Zapalam pa- pierosa, wchylam kieliszek do dna... Belkoce coś o jakimś spotkaniu... Ona nagle sztywnieje... Dorzuciłem jeszcze jeden supernegatywny ele- ment do mojego, i tak już obciążonego, dossier... Historia Fedry... Pogłos Racine'a w furii. Do wi-

koń... Raz ci to w akcji, raz ci to służy na dwóch łapkach... Albo też od drugiej strony, homoseksu- alizm... Czarne wzburzenie, lśniąca pedalia... Wy- chodzi na to samo...

Spoglądam na siedzącą w cieniu Cyd... Jest te- raz naga, tylko w pantoflach... Wygląda pięknie, blondynka, pokryta jeszcze opalenizną z ostatnie- go pobytu na Południu... Przykłada, zaczyna mi obciągać... Długo... Wkraczamy w powszechną me- chanikę, w ruch... Wiem, o co jej przy tym cho- dzi, o sprawy psychiczne, abstrakcyjną domina- cję od wewnątrz, niemy rytuał posiadania, zoni- skowaną yoge... Sprawdzić, czy wytrzymam i jak... To ją upaja... Kładę się na kanapie... Nie przerywa... Wciąż mam w uszach jej pytanie za- pierający: „chcesz, żebym ci obciągał”... W taksówce nocą, na Park Avenue... Podczas kolacji było parę gestów, w taksówce po- całowałem ją, niemal z grzeczności... A teraz u- niej w Paryżu... Wciąż jest ostra w słowach... Język zapożyczony, bez znaczenia... Cudzoziem- ki... Słowa jak cięsy... Swobodne fale... przezo- ryste pociski... Ton nieokrzesany... Chyba wiem, co samej sobie opowiada... Historie o wampirach, to bogani śmierci... Słowo „obciągać” podniesio- nym głosem... Dlaczego robi to wszystko o nie- nie prosząc w zamian? Za każdym razem cze- kam, aż poda swoją cenę... Choćby okrutnie... Drobną interwencją tu czy tam, jakaś przysługa, choć większość zbliżenia, to co zwykle... Ale nie, nie... Wszystko pozostaje gładkie, gorączkowe, na-

Sceny miłosne w literaturze pięknej

kl... Olorzymia nieznana paleta, czekająca na od- krycie... Pozytywna... Negatywna... Neutralna... Wilaminująca... Ołowiana... Opisy są zbyt zwin- ne... Satuczna, skrepowana i napuszczona litera- tura... Uproszczona agresywność... Sceny zbytnio podporządkowane oku „idei” oka, odczytnemu stereotypowi... Ysia pojawia się w mojej narra- cji, gdy — chcąc opisać swoje własne życie — wrócić jej jestem zmysłową wdzięczność... Wdzięczność malarza... Grawera... Dwa czy trzy bambusy, cztery listki, musnięcie powietrza, po- chłost, prąd, gestyść powietrza, blysk wody... Świat w jednym podciągnięciu pedala... Od cza- su gdy piszę tę książkę, dyskutując zresztą z S. lepiej rozumiem malarzy... Wydaje mi się, że wchodzę w ich gesty, ich prawdy oczywiste spoza lustr... A więc Ysia... Kawalerka, gdzie raz, czy dwa razy na tydzień... Poza tym mie- scem nie znalazł się... A nawet tam... Jakbyśmy się nie znali, i to właśnie było piękne, odurza- jące...

X X X

Obok drzewek cytrynowych i pomarańczowych, pod jedną z dwóch dużych palm... Trudno sobie wyobrazić piękno ośrodka Południa... Głębokie,

się miękka, pachnąca, jedwabista, jak skóra mat- ki... Jej ołate majtki... Jestem pewien, że mnie widział... A potem, pewnego dnia, czarna pla- ma... To niemożliwe, to nieprawda... Nie ma naj- tek... Uda coraz bardziej rozwarła... A później g- ka, powoli, ze znajomością rzeczy, głowa odrzu- cono do tyłu, jakby spała... Podnoszące się od cza- su do czasu powieki... Szparki oczu, czarny blysk... Rozbrałem się w końcu do naga, za cie- mnozielonym żywopłotem, zbliżyłem się do prze- świet między krzakami, gdzie mogła mnie świat- nie widzieć... Dwadzieścia metrów... Na chwilę zamarla... Zaczęłem się pocić, powoli, później coraz szybciej... Leżała nieruchomo... Martwa... Aż wreszcie jej ręka powróciła, nieco drżąca, i zrobiłymi razem, z pół przyniętymi oczami, w sennie, lipowej jasności... Dostałem orgazmu w momencie, gdy wypłynęła się do tyłu, po czym opadła, z głową na ramieniu... Widzę jeszcze spe- mię na liściach, w pełnym słońcu, to było bardzo piękne... Wróciłem pod drzewa... Ona powróciła do książki... Robiliśmy to później prawie codzien- nie, wciąż bez słowa, udając obojęt- że wzajemnie nie wiemy o swojej obecności... Wieczorem, przy kolacji nie zwróciliśmy na siebie uwagi... To by- ła magia... Bóg jeden wie, ile widziałem od tego czasu kobiet, masturbujących się przede mną i dla mnie, dla siebie samych poprzez mnie... Ale według mnie Edyta była naprawdę pierwszą i jedyną, która robiła to dla chwały czasu... Wyje- chała i w następnym roku było tak, jakby nie- się nie zdarzyło... Stała się dla mnie prawie miła... Ale nie przeżywała już w pobliżu szklarni... Już nie czytała...

X X X

Puka do drzwi mojego pokoju... Sympatycz- nie mnie gwańci... Trzeba przyznać, że ma tem- perament... Chce się kochać naprzeciw lustru... Śladam na krześle, Flora siada na mnie tyłem, bierze mojego członka między uda i zaczyna go gwałcić tak jakby — sztywny i napięty — był częścią jej ciała; drugą ręką niecierpliwie pie- ci mi genitalia... Konieczność chce zobaczyć wy- trwały spermę, zbiera ją do szklanki i obje teatral- nym gestem, z głową odchyloną do tyłu... Potem, leżąc na łóżku, każe się wylizać... Doświadczam ją do silnego orgazmu, krótkotrwały przywół, krzyk... Miał lechtaćka w ogniu, mały eksplo- dujący członek... Nagle staje się bledną clemno- wlosa, z rozrzuconymi nogami, rozpolimionymi palczkami, oczami niebieskimi, zagubionymi i niewinnymi... „Kochanie się dobrze ci robi na uro- de” — mówię... „A ty? Spójrz na siebie?” To prawda... Mimo dziewięciu godzin lotu, różnicy czasu, dwóch godzin w pociągu... Jest trzecia po po- łudniu... A więc ośma rano w mojej kawalerce w Villages... Pora dnia, która najlepiej nadaje się do pracy na zalanym słońcem tarasie... Aktor musi umieć grać na różnych scenach, w różnych deko- racjach, zmieniać rolę... Zmieniać uśmiech...

X X X

Znowu jestem w swoim pokoju we Florencji... Jeszcze tydzień... Bądźmy czuńni... Moja sąsia- deczka z drugiej strony ulicy wciąż tkwi z no- sem w książce... Ale oto i inne przedstawienie... Para pedatów... Wysoki, zaroiłszy wasacz... Znie- wiesiali młodzieńcy... Amerykanie... Kochają się na łóżku w pokoju sąsiadującym z pokojem mojej miłośniczki lektury... Bardzo tradycyjni... Heteroseksualści w pełnym rozkwicie... Pan na Pan... Pani z nogami wysoko wzniesionymi, pie- ci ołowione pośladki Pana... Wszystko jest mi- kkie, powolne, natrętne, wzruszające... Organiczne qui pro quo... Pedaty nie mogą wiedzieć, czym jest tyłek... Rozkosz tyłeczka... Dla nich ty- leczek jest tylko porwana... Jakże to smutne! Cóż za zwrócenie konturów! Co za nieskończona dwu- znaczność! Jaki fałsz! Nieco później mijam ich na ulicy, są przeczni, nienazani, bardzo w stylu młodej wazy świeżo po ślubie... Katalozi, muzeu... Cuda Włoch...

Zastanawiam się jednak, co mnie czeka w Pa- ryzu... Jak Deb przyjeżdża wyskok Flory... Która na pewno nie poprzestaje na tym jednym... Wi- zyty... Plenięcie... Bombardowanie lotnisk... Prze- cianie dróg... Eksplozja składów z amunicją... Niszczenie mostów... Wólucy bunt... Może się okazać, że zastane swój świat w komoietnej roz- wyce... Jeśli chodzi o Deb, jestem mniej wie- cę spokojny... Jej reakcje są analityczne... Konkre- ne... Podwyższy swoją cenę...

Unoszę głowę... Moje grzeszne podalki wróciły do pokoju i znowu po małżeńskim kopulują... Z u- cie grobowa zawziętością... Powietrze wokół nie- li z lekka kamienieje... Wobec takich jak oni Bib- la jest bardzo surowa... Męskie prostytutki, uzi- wane za nietykalne, rolły się niejednokrotnie wóko- światni... W Babilonii... W Syrii W Izraelu p- jawiły się wraz z balwochwaltstwem... Zawsz- pal Asherah i jego konsekwencje... „Pay” — m- wi o nich hebrajski tekst... W tym wypadku ni- leżałoby ich raczej nazwać somnambulantem- szczeniakami... Scille donasowani...

X X X

Równie dobrze mogłabym westchnąć: w! jesz- cze jeden dzień bez kobiet... Zawsze będzie czar- łyb do nich wrócić... Już niedługo... Ciało jes- mdle, niestety. Istnieje na szczęście książka od- porna na wszelkie lektury... Uf! W każdym ra- zie jeszcze jeden dzień bez Flory... Bez telefonów- preżi, zakłóceń, bez paolaniń, zastrutych aluzji- wymuszonego uwodzenia, bez „sensu”... Kocha- nie, twój ptaszek! Chce widzieć wytrysk spermy- Fluuu! Po piersiach! Po oczach!... Wszędzie! Chce ją pokonać! Mnian mian! Weź mnie! Jeszcze! Uwielbiam cie! Kocham! Wył- mnie! Wypieść! Wsadź mi! I placzę z rado- ci, kiedy ma orgazm, biedna, rakiolinowa w sp- znie figurka... O ludzkości, ludzkości!... Stru- mień czasu...

Zachód słońca nad Florencją: czerwone słoń- ce na wąskim, ordobionym serafinami, trzaskie pa- cu Pazzich...

Fragmenty powieści „Kobiety” francuskiego pisa- rza Philippe’a Sollersa, w przekładzie Beaty Genert, art- kulujemy za miłośniczką „Literatura na Świecie” nr 3 br.

Kobiety

PHILIPPE SOLLERS

Kopiecia

dzenia, kochanie, zdzwoniły się... Wychodząc prawie biegnę... Pachnący czerwcowy wieczór...

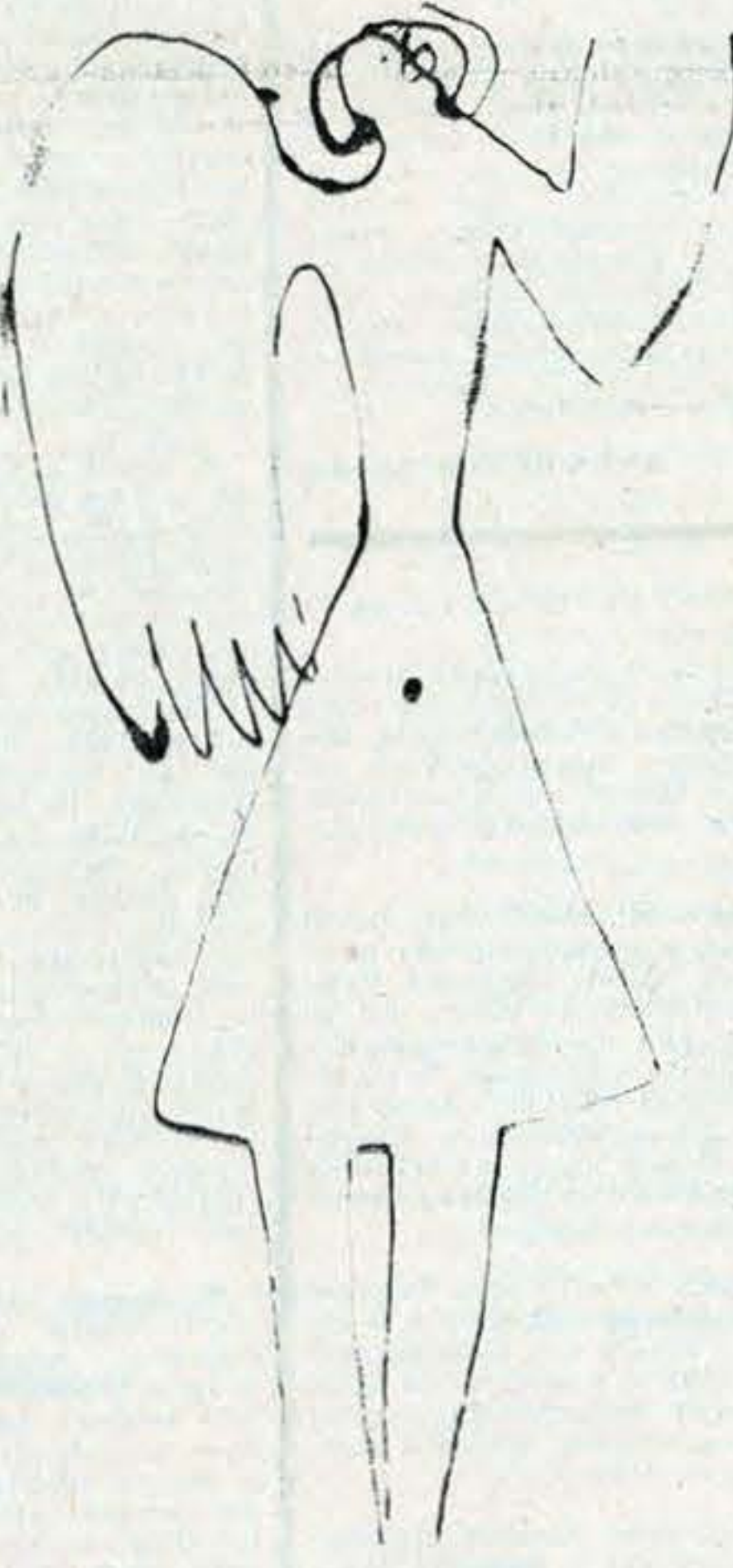
Spotkanie i owszem mam, ale nie to o którym mówiłem... Cyd otwiera mi drzwi... Zawsze do- kładna, punktualna, dyskretna... Gra polega na tym, żeby nie rozmawiać, żeby od razu zacząć się kochać... Pod czarną suknią jest zupełnie na- ga, zabieramy się natychmiast do dzieła... Rozma- wiemy dopiero potem... To ogromna różnica... Skoro już kryzys został rozładowany w sposób fizyczny... Nieporozumienie wyegzorcyzmowane... Brak komunikacji odebrany, wyładowany... Zroz- umiama, akceptuje ten rytym, o jej życiu nie wiem nic lub prawie nic... Oto dzisiejsza wolność... Od- dziełać, stawiać szczebelne zasłony, milczenie, nigdy się nie przyznawać, pod żadnym pozorem nie biadolić, przenosić się z miejsca na miejsce... Mnoży sceny, isę po przekątnych, mijając... Oto, co mi się podoba w Nowym Jorku... Zmiana sce- ny na zawołanie, ruchoma przestrzeń, odległość... Wystarczy unieść rękę, zapada zmierzch, parę kilometrów dalej jest także centrum miasta... A w Paryżu... Dwa lub trzy ożywione miejsca, po- za tym peryferie... Prowincja, prowincja, zdrad- dzieckie szpicelowanie wszędzie... Rodzaj wszech- stronnego hamulca, psychiczne odstraszenie... Rządzą trafiają się ludzie, o których można po- wiedzieć, że żyją... Egzystują i owazem... To nie to samo...

Cyd ma dużo poczucia humoru, a równocześ- nie jest gwałtowny... Uwielbia teatr... Kino, któ- re wyzwala orgazm... Niezawodne sztuczki... Ma- gia, ironiczny styl gejsy rok 2000... Czarne poń- chochy, podwiązki, brak majtek, szepczana gra- wstępna, przepiękna nieprzyzwoitość... Całe re- tro tej sprawy... Muszę kiedyś stworzyć teorię- szepu, napisać pracę naukową, którą wysła- swo- im uniwersyteckim przyjaciółkom, nie będę u- krywał którym... Lekkie, miękkie strefy, zdania- przerywane, bez znaczenia... Niemodna ołocza, idiotyczna ale niepokojąca, w końcu niepokoją- ca... Nieprawdaż, mój zakłamaną czytelniczkę, no- ja światła czytelniczkę... Prawie sami mężczy- zni, zażenowani, niezaradni, obeszyni... I trochę- par... Jeśli przychodzą we czwórce, chichoczą... Muszą... Jakby chcieli powiedzieć, że w ich ka- dki nie się nie dzieje, niech tylko nikomu nie- wpadnie do głowy, żeby się do nich mieszać, te- fikolki to jedynie dla żartu, to idiotyczne... Dzi- siejsze stulimienia... Na odwrot... Czują się zmusze- szeni do dowcipkowania, chociaż obraz na eka- nie, widoczny, rażący, skrycie wywołuje zamiesz- ko nie skutec... Nie zostają długo, wychodzą lekko- zgarbieni, zamysleni... Albo ci dwoje, tam... Dzie- wczyna zasnęła z głową na jego ramieniu... Chlo- pak bacznie wpatruje się w ekran, jak pilny u- czeń... Ona śpi... Symbol naszych czasów... Jej to- nie dotyczy... Czeką aż to się skończy... Aż jej- facet wszystko zdrębnie obejrzy, cipy, uda, poślad- ki, członki, jaja, z przodu i z tyłu, usta, wargi- wyraźnie zarysowane wokół członków, sperma- spływająca po biodrach lub piersiach... Odważni- aktozy... Tak pilni, że podglądają tylko ogólną- beznadzieję... Czasem coś niecodziennego, jakiś- młodo wszystko dziecinny przebieg... Ale wła- ściwie, żadnych prawdziwych posłizgów, niesto- rowności... Bez najmniejszego błędu... Wszystko- rozgrywa się jak w teatryku lalkowym... Z jed- nej strony obrazki, z drugiej dźwięk... Gdyby- to było prawdziwe, gdyby się rozgrywało w ży- ciu codziennym, zostałoby zakazane... Oczywiście... Cynizm i naiwność, dwie wielkie wartości- dnia dzisiejszego... Realizm i niłakość... Zniesie- nie śmierci, intensywny ginekologizm... A samiec- w środku tego całego zamieszania, jak cyrkowy-

mietne, jakby liczyła się tylko chwila obecna... Może jednak, choć raz czy dwa... Pro forma... Nie... Za darmo... A może jestem dla niej inwe- stycją długofalową... Pozwalam jej grać... Prawdo- podobnie nudzi się tak samo jak ja... kiedyś... Stąd ten techniczny charakter spotkań... Rozko- szuje się zmuszając mnie do rozkoszy... Wchodzi na mnie, drżąc, rozdygotana... Przeniknęła dres- czem... Wchłania mnie... Kundalini, jak mówią- Hindusi, czuje jej napięte mięśnie, wał włókien- nerwowych, od zwinętej podstawy do szczytu z- chromodynamicznym powtórzeniem... Chromody- namika kwantytatywna, dzisiejsza fizyka, jutrzej- sza... Elastyczność podstaw, materia w stanie lot- nym tym bardziej dzięki temu odporna... I nierz- chomość katastrofi Kolory... Antykolory! Pełna- paleta kolorów do przeżycia... Kora mózgowa, ku- nka rdzeniowa, poszukiwanie fał na odwrot... Świat — antyświat, w którym dziś żyjemy... I Cyd, która tańczy na tonącej tratwie... Schodzi- ze mnie, łapczywie wyciąga usta, wysysa... Od- pływam... Pozwalam jej... Wypija mnie... Miłość... Wypija wszystko... Elektrycy, protony, neutrony, fotony, leptony, miony, hadrony... A nawet le- najnowsze które zapewniają tkankom spójność- gluony... Potrzeba materia wte i wewte... Atomo- wa grzywa... Jak gdyby żywiła się bezpośrednio- za pomocą cogito... Wyznaje mi szepem: „To- twój mózg mnie podnieca”... Jej obraz niewidocz- nie odtworzony w moim mózgu... Odsuwa się, w- pełnym natchnieniu... Teraz leży, śpi... Nie będzie- dziś rozmowy? Wstaje, ubieram się po cichu... Jej krótki zadowolony pomruk: mmmmmmm... W- ciemności odnajduje drzwi... Wychodzę na ni- mą klatkę schodową...

X X X

A więc, moje życie... Równanie, od którego wy- siedziem, punkt w jestem... I już prawie zasy- piam... Opowiadanie własnego życia nudzi mnie- śmiertelnie... Zawsze coś nie tak, można tylko- upraszczać, powiększać, pomniejszać, zawężać... Ale co, tak należy... Próbuje się trzymać w- tku... Erotyczność... A więc... Co tam znajdu- je? Ysia... Ach nie, nie teraz! Później... Chiny... Jej pomiaukiwania... Nie, nie Ysia bez dygresji... No więc ta ostatnia... Widywaliśmy się popołud- niami, w małej kawalerce wynajętej w tym celu- w okolicy Champs-Elysees, w pobliżu ambasady... Godzina, półtorej... Jedną z moich najodważniej- szych przygód... Prawdziwa powieść kryminalna... Poznałem ją na orientalistyce... Pracowała w dzie- le kulturalnym... No co... Była piękna... Wytwor- na... Lśniąca, gładka, szczupła... Trzydziest lat, me- zatka, niedopieczona... Lekko perwersyjna... Wszystko... Jaspisowa fletina... Sen o czerwonej- fładzie... Żółte... Turkusowej... Opowieści zna- d- brzegu oceanu... Wachlarz feniksa... Rosa pel- ni księżyc... Precyzja, apetyt... Ciało niemalże- dzieckie, jedno z najprzyjemniejszych wrażeń- z srodka, mam na myśli zetknięcie słuszkowi ze- słuszkowi w abstrakcyjnym piecu wygiętej roz- koszy... Rozumiecie? Nie? Trudno... Od dawna- już uważałem, że przydałoby się prawdziwa kar- tografia aktu... Mapa miękkości w działaniu... Większość narratorów milknie w momencie, gdy- dochodzi do aktu... Albo też zaczynają przesadzać- w stylu kurczowym... Rozmaite mikroskazy... Wulgaryzm, rozczanianie... Przeważnie jednak- dominuje styl eteryczny... Wysła z kąpieli, położy- ła się koło mnie, zgasiłymi światłami... Podała się- zatonęliśmy w puchu łoża... Tego dnia nie czytu- liśmy już więcej... Koniec akapitu... Nie, potrze- bne są dokładne oceny awanturnika dotyczące- wewnętrznych wrażeń czubka organu w zetknię- ciu ze zrozumią ucieczką penetrowanej tkan-



Rys. ROMANA KASZCZYC

magnolia, drzewka laurowe, akacje, obfitość, roz- kwiecone eksplozja klimatu... Jedną z moich cio- tek, Edyta, śladywała tam dłużej niż inne. Była- to wysoka brunetka o dziwnym spojrzeniu, mia- ła wówczas lat trzydzieści sześć, ja czternaście... Najmłodsza siostra matki... W stosunku do mnie za- wsze agresywna, ironiczna, zgryźliwa... Tamtego- lata zdawała się nudzić, dużo czytała... Przesia- dywała w słońcu, wyciągnięta na szeszlono, pod- czas gdy pozostałe sży do pokójów spać lub bie- gly do miasta, do sklepów, do kina... Zostawał- my sami... Już przedtem zauważyłem w jej o- czach nowy rodzaj uwagi, jakby zbyt wyrazisty- blysk... Udawałem, że idę na górę do pokoju, po- czym skrycie wracałem i podglądałem ją zza kza- ków... Biała bawełniana suknia, uniesione roz- warte nogi... Ciemna skóra, która wydawała mi



ŚMIECH BEZ REFLEKSJI?

„Moralność pani Dulskiej” była wielkim sukcesem pisarskim Gabrieli Zapolskiej. Jak pisał Henryk Zieliński: „to prawdziwy gram, który spadł w sam środek naszego szarego życia, oświetlił błyskawicą talentu i bezstronnej obserwacji to, obok czego przechodzimy codziennie, a czego nie spostrzegamy, bośmy do tego przywykli porównani ogólną falą, co wszystko zaciera, wyrównuje, przylatcza...”

Główną ideą tej sztuki, jak niejednokrotnie pisała autorka w listach do znajomych, jest obraz podłości burżuazji. Utwór stanowi protest przeciwko obłudzie, kłamstwu, przeciwko człogającej się w błocie filisterii.

W kwietniu bieżącego roku w Teatrze Lubuskim odbyła się jeszcze jedna polska premiera „Moralności pani Dulskiej”. Gdy podniosła się kurtyna, ujrzelśmy salon pani Dulskiej wyposażony w piec, kanapę, stół z koronkowym obrusem, cztery krzesła z dwoma pufami, dwa fotele, lampy, obrazy i kwiaty w wazonie. Nie sądzę, aby ten widok kogoś zraził czy zaskoczył. Wprost przeciwnie, wydaje się, iż przywołał miły nastrój, pozwalając na chwilę odpuścić od naszych segmentów, znajdujących się nieomal w każdym mieszkaniu.

Reżyser spektaklu, Jowita Pleńkiewicz, ze wszystkimi detalami oddała realia sztuki. Dobra była obsada aktorska, chociaż Juliusiewiczowa powinna być nieco starsza od Zbyszka. Janina Buławianka grała swoją rolę bardzo poprawnie, lecz klasycznie. Na scenie pojawiła się Pani Dulka w papilotach i była taka, jaką sobie wyobrażaliśmy po przeczytaniu lektury — bezwzględna, gdy idzie o zysk, lub „honor” domu, a także — zakłopotana i gderliwa matka. Może wyglądała trochę bardziej estetycznie, niż w utworze Zapolskiej, bo bez dziury w walce i w czystym kaftanie...

Dulski (Zdzisław Grudzień) sprawiał wrażenie szczytyście zahukanego indywiduum, co doskonale można było odczytać z jego mimiki, przgarbionych pleców i gestykulacji. Jedyne raz, ożywał na parę sekund, gdy kradł cygaro, skrzętnie wylizane mu przez Dulską. Swoim zachowaniem wywoływał śmiech publiczności.

Zupełnie dobrze swoją rolę kreował Piotr Lauks jako Zbyszek, który pokazywał ewolucję postaci: początkowo cynik, wesołek, potem młodzieńiec buntujący się przeciw światu,

a na końcu znowu cynik wzbogacony o nowe doświadczenia. Anna Chojnacka w roli Hani zaprezentowała prostą, wiejską dziewczynę, pokrzywdzoną, lecz i zbuntowaną, potrafiącą się bronić. Zaznaczyła to sposobem poruszania się i modulacją głosu. Hesia (Barbara Lauks) i Mela (Karolina Józwiak) to dwie kontrastujące ze sobą osobowości. Pierwsza — pełna temperamentu, krzykliwa i niekiedy odrażająca, żywe wcielenie Dulskich. Druga natomiast to osoba dobra i naturalna, pełna dziewczęcego ciepła.

Sigrid Siewior sprawdziła się jako Juliusiewiczowa. Chytra, podstępna kokietka. Przekonywując swoje role kreowała też Danuta Ambroz jako soczystą Tadrachową i Halina Fecko jako lokatorka subtelna, delikatna, odnosząca się z dużą dozą krytycyzmu w stosunku do Dulskiej.

Do udanych scen spektaklu, można zaliczyć rozmowę pani Dulskiej z lokatorką, dialog Zbyszka z Juliusiewiczową, kiedy wykłada wszechwładzę kulturową, marsz Dulskiego na Kopiec Kościuszki oraz scenę obrony Hani przed napastliwymi zalotami Zbyszka.

„Moralność pani Dulskiej” na lubuskiej scenie zagrano dobrze, było dużo śmiechu i gorące brawa. Zastanawiam tylko fakt, czy był czas na głębszą refleksję. Przecież to nie tylko ko media, to także dramat. Wydaje się, że za bardzo przyzwyczailiśmy się już do problemów poruszanych w tej sztuce. Rodzą się więc odczucia, że dzieło umknął ów dramatyczny wymiar sztuki.

Spektakl bawił publiczność. Śmieszne są dla współczesnego widza problemy dziewiętnastego wieku, lecz rodzi się pytanie, czy ktoś z osób będących w teatrze zobaczył w tym wszystkim siebie? Trudno zmieniać realia sztuki. Przedstawiono je takimi, jakimi są. Gdzieś jednak ginie i zacierza się to, co należy do dzisiejszej rzeczywistości. Dulscyżyna nie umarła, mimo zmiany ustroju społecznego. Istnieje i krzyczy się nadal, przybrała tylko inną postać. Dłżi nikogo nie dziwi skrzywdzona dziewczyna, bo mnóstwo jest matek samotnie wychowujących swoje dzieci. Czy mało jest dziś młodzieńców, którzy nadużywając uczuć dziewczęcej żenia się potem z pannami z tak zwanego dobrego domu? Nowe warianty dulsczyzny roznoszą się też w niejednym zakładzie oraz urzędzie. Także często bywa pozorna nasza moralność...

Z pewnością przydałaby się dziś jeszcze jedna Zapolska, która przez dziurkę od klucza pozwoliłaby nam zajrzeć do naszych mieszkań w blokach.

Gabriela Zapolska „Moralność pani Dulskiej” Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze. Premiera 29 kwietnia 1986 r. Reżyseria: Jowita Pleńkiewicz. Scenografia: Barbara Janowska. Opracowanie muzyczne: Jerzy Bechyn. Choreografia: Zbigniew Czech. Obsada: Dulka-Janina Buławianka, Lokatorka-Halina Fecko, Hania-Anna Chojnacka, Hesia-Barbara Lauks, Mela-Karolina Józwiak, Juliusiewiczowa-Sigrid Siewior, Tadrachowa-Danuta Ambroz, Dulski-Zdzisław Grudzień, Zbyszek-Piotr Lauks.

ANNA DZIECHCIAROW

Recytatorskie spotkania

W pierwszych dniach kwietnia br. w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Zielonej Górze odbyła się kolejna edycja spotkań z literaturą dziecięcą oraz z poezją i prozą Tadeusza Nowaka. Akcja ta uzyskała wielu zwolenników zarówno w klubach pras i książki, jak i w bibliotekach, ponieważ z roku na rok spotkania są bar dziej ciekawe, pojawiają się różne nowe formy literackich prezentacji, interpretacji recytatorskich.

Ta edycja spotkań odbywała się już od października 1985 r. i trwała do końca kwietnia 1986 roku. Przebiegała ona w trzech etapach: na szczeblu klubów i bibliotek oraz na szczeblu województwa. Spotkanie międzywojewódzkie odbyło się w Poznaniu. Dlaczego w Poznaniu? Ano dlatego, że głównym organizatorem tych interesujących imprez jest RSW „Prasa-Książka-Ruch” PUPiK w Poznaniu, zaś współorganizatorami Przedsiębiorstwa Upowszechnienia Prasy i Książki w Szczecinie i Zielonej Górze oraz Wojewódzkie Biblioteki Publiczne w: Poznaniu, Kaliszu, Koninie, Lesznie, Pile, Śrebrnie, Gorzowie i Zielonej Górze Ponadto — Pałac Kultury w Poznaniu i Oddział Wojewódzkiego Towarzystwa Kultury Teatralnej w Poznaniu. Spotkaniu patronują Oddział Związku Literatów Polskich w Poznaniu i Redakcja „Głosu Wielkopolskiego”.

Zielonogórska impreza przebiegała w dwóch kategoriach. W pierwszym dniu wystąpił dzieci z programem recytatorskim literatury dziecięcej, w której dominowała twórczość Jana Brzechwy. Natomiast w drugim dniu młodzież i

dorośli spotkali się z poezją i prozą Tadeusza Nowaka.

W pierwszodniowej imprezie uczestniczyło 49 dzieci z 21 klubów pras i książek województwa zielonogórskiego. Młodzieńcy recytowali z dużym zaangażowaniem swoje utwory, wykazali prawdziwe talenty.

Wszystkie dzieci, które wzięły udział w konkursie, otrzymały dyplomy uczestnictwa oraz nagrody książkowe. Natomiast najlepsza szóстка została wytypowana przez jury do Międzywojewódzkiego Przeglądu w Poznaniu. Są to: Kamila Chądzińska z Letnicy, Beata Staciewicz z Jakub Walińskich z Nowego Kramska, Wiesław Jasiński i Sebastian Opaska z Bukowa oraz Wiesława Lewicz ze Szczawna.

W spotkaniu z twórczością Tadeusza Nowaka uczestniczyły 22 osoby z 18 klubów pras i książek woj. zielonogórskiego. I tu większość z uczestników wykazała się dużym zrozumieniem twórczości autora, znajomością tekstów i umiejętnościami recytatorskimi.

Dorośli uczestnicy turnieju otrzymali również dyplomy i upominki książkowe, a Irena Korol z Reklina, Agata Hryńczuk z Lipnej Łużyckiej, Arleta Maćka i Kazimierz Szymański z Konotowa oraz Beata Trajdos z Chich jako najlepsi zostali wybrani przez jury do Przeglądu Międzywojewódzkiego w Poznaniu.

Jak wykazały tegoroczne doświadczenia, tego typu impreza jest społecznie pożyteczna i stale wzbudza duże zainteresowanie.

Na Międzywojewódzkim Przeglądzie w Poznaniu który odbył się w drugiej dekadzie kwietnia br. Irena Korol z Reklina i Kazimierz Szymański z Konotowa uzyskały nagrody dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki UW w Poznaniu.

Z.Cz.

ciąg dalszy ze str. 1

Pod koniec XVIII w. mamy już w Polsce typową satyrę rysunkową. Parają się nią tak wybitni artyści jak sprowadzony przez księcia Adama Kazimierza Czartoryskiego z Francji do Polski Jan Piotr Norblin (1745—1830), tworzący w Niemczech Daniel Chodowiecki (1726—1801), wybitni uczniowie Norblina: Aleksander Orłowski (1771—1822), Michał Płóński (1778—1812), Jan Rustem (1782—1835), poza tym Franciszek Smugiewicz (1745—1807).

Pismem, które satyrę uznało za ważny element, był założony w 1765 r. przez księcia Adama Kazimierza Czartoryskiego „Monitor”. Z czasem ilustrowane czasopisma satyryczne były dodatkem do już wychodzących i tak: pismo satyryczne „Świśtek Krytyczny” wydawane w latach 1816—1822 przez St. Kostkę Potockiego, było dodatkem do „Pamiętnika Warszawskiego”, „Morus” redagowany przez wybitnego aktora Alojzego Żółkowskiego jako dodatek do „Wandy — Tygodnika Literatury i Pięknej Powszechnego”. I tu nisma, często o intrygujących tytułach, to: „Pasztet

der” z podtytułem „Czasopismo wesołe — górnosłaskie. Wychodzi kiedy chce i kiedy może”. Pismo włączyło się w walkę o przyłączenie Górnego Śląska do Polski. Aktywnym członkiem Komitetu Plebiscytowego był Kazimierz Grus (1885—1955), przybyły na Śląsk wraz z żoną Mają Berezowską (1898—1979). Wcześniej Grus był redaktorem „Szczutka” Karykaturzysta zamieszczał także rysunki w piśmie satyrycznym pt. „La Haute Silésie” (Górny Śląsk), które było wydawane przez międzynarodową komisję sprawującą nadzór na Śląsku.

Satyra a prasa — te dwa elementy są nierozdzielnie związane ze sobą. Satyra, obok mentorskich artykułów, manifestów, ustaw itp. służyła służyć i ciemnym, armii zwykłych i specjalnych jest bronia, którą posługują się aktualne trony i ci, którzy te trony chcą obalić. Każda ze stron boi się ośmieszenia a jedna jednocześnie stara się ośmieszyć drugą. Często koronowane głowy są podwójnie śmieszne, bo np. można mieć jaskrawy kształt głowy w dodatku nieczym nie porośły i odstające uszy, a jeszcze do tego — śmiesznie gadać. Z drugiej strony postać wybitna, którą interesują się karykaturzyści, nadają jej po

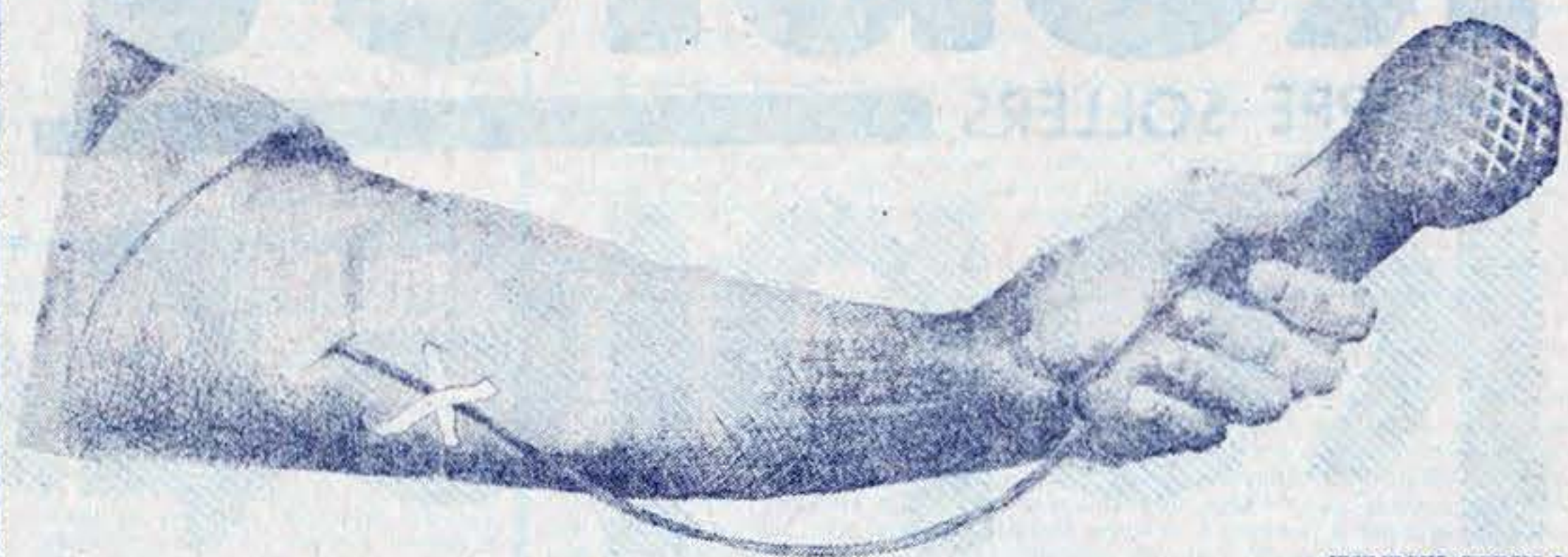
tym plastycznym chaosie. Bilans 2-dniowych zamieszek: na wystawie złapano 76 autorów z 138 rysunkami. Ostatecznie jury postanowiło nie przyznawać głównej nagrody Grand Prix, a sumę tejże podzielić pomiędzy pozostałych laureatów.

Ze względu na bezpieczeństwo autorów, nie podaję, kto ile dostał, natomiast miło mi jest przedstawić wszystkich laureatów wraz z zajmowanymi pozycjami:

I nagroda — Henryk Cebula, II — Krzysztof Konopelski, III — Andrzej Pijet, wyróżnienia — Zygmunt Pytlík, Andrzej Misztal, Piotr Kutryba. Nagrody i wyróżnienia specjalne otrzymali: Marek Michalski, Julian Bohdanowicz, Kryk Łopiński, Janusz Wołoszyn, Leszek Mormanowicz, Włodzimierz Rostkowski, Antoni Chodorowski, Zbigniew Ziemiecki, Marek Sulek.

Jury zapewnia, że prace nagrodzone i zakwalifikowane na wystawę odznaczają się wysokim poziomem artystycznym i ideowym. Odsłuszcza

SATYRA A PRASA



HENRYK CEBULA

— I nagroda

stacji splendoru. Podobno Charles de Gaulle był zmartwiony, jeśli przez dłuższy czas nie ukazywały się jego karykatury w prasie, gdyż był to jakoby znak, że jego popularność zmalała.

Jesienią 1985 r. Klub MPiK w Zielonej Górze, przy współudziale wielu innych instytucji kulturalnych i redakcji ogłosił otwarty konkurs na rysunek satyryczny. Jako temat do „obrobki” wzięto — prasę! Temat wydał mi się bardzo atrakcyjny dla satyryków-rysowników, bo przecież oni najlepiej wiedzą, a także cenzura, co to jest potęga prasy okraszona satyrą. Uroczystość konkursu w postaci dorodnych rysunków jest obfity. W dniach 24—25 stycznia 1986 r. dostojne jury w atmosferze należytą powagi, spokoju, z zachowaniem rozumu i niedoprowadzania do zbytecznego niepokoju, przystąpiło do klasyfikacji zbiorów. 6 członków jury dla świętego spokoju stwierdziło, że nadesłano 773 prace 182 autorów. Trzeba obiektywnie stwierdzić, że prób sfalszowania obliczeń nie zanotowano. Mając tak dużo dorodnych prac, jury przystąpiło do zdecydowanych represji artystycznych. Oddział jury przez 2 dni sprawnie przywrócił ład i porządek w

ją różne „techniczne” możliwości — rysunek piórką, gdzie delikatna kreśka jak dymek ze szlachetnego papieru sa wie się w kształt ucielesnionej scenki. Gdzieś (Indzie) w czarnej kresce tuszu wkomponowano uroczę kolorów wabiące widza: tam znów toporna i ciężka krecha oddaje charakter naszej prasy. Tak więc reprezentowane są różne style plastyczne, sposoby patrzenia, stany cywilne, majątkowe, wiek i pleć satyryków. I tylko oziwień całkowicie zdegenerowany, zaślepiony nienawiścią, jadłem szowinizmu i międzynarodowego imperializmu nie dostrzeże tego piękna karykatury.

W maju, podczas otwarcia wystawy, odbędzie się także seminarium naukowe na temat „Satyra”. A co potem z WP Satyrą? W przyszłości? Przyszłość — rysuje się już na horyzoncie, jak zawsze, barwnie, obficie i satyrycznie. Wystawa z Zielonej Górze powędruje do Czechosłowacji.

BOGUMIL WTORKIEWICZ



Nasz specjalny korespondent domost...

Rys. ERYK LIPiŃSKI — wyśmiał... od drza

W Kole bywa różnie...

— W naszym klubie dzieje się sporo ciekawych rzeczy, bo rozwija się i działalność rekreacyjno-rozrywkowa, są wycieczki, ogniska w plenerze, kwitnie sport, a przede wszystkim piłka nożna. Odbijają się też dyskoteki oraz inne rozrywki i zajęcia kulturalno-oświatowe dla dzieci i młodzieży — wyjaśnia Adam Brenek, członek społecznej rady klubu. — Ale nam chodzi jeszcze o coś więcej. Chcielibyśmy założyć w klubie zespół muzyczny. Mamy muzykalną młodzież, ale nie posiadamy sprzętu muzycznego. Kiedyś obiecano nam w Oddziale RSW w Krośnie Odrzańskim, że może uda się coś zakupić. No cóż, widocznie i oni mają spore trudności skoro do tej pory nic nie kupiono.

— My wiemy, że ze sprzętem muzycznym nie jest łatwo, więc to co możemy, gromadzimy sami — dodaje Adam Zieliński. — Najpilniej potrzebujemy gitar: basowej i prowadzącej, perkusji i urządzeń nagłaśniających.

— Mogłoby wiele pomóc takiemu młodemu zespołowi — wtrąca Sławomir Polak, który grywa w tym klubie na własnych organach. Już wkrótce będą go weryfikacji, a to coś znaczy.

No cóż, problemy sprzętu muzycznego w klubach należą do najtrudniejszych i to nie tylko w Kole. Wiele jest zespołów muzykujących na własnym sprzęcie, bądź grających na własnych instrumentach.

— Klub mamy bardzo ładny — wyjaśnia gospodyni, Maria Wiśnik, która pracuje tu od listopada 1983 roku. Po wstąpieniu w życie świetlicy wiejskiej, ale część handlowa została wydziedziona, jest też spore zaplecze, duża scena do większych przedstawień oraz to, co jest bardzo ważne zimą — centralne ogrzewanie, a także woda bieżąca ciepła i zimna.

Rzeczywiście, pomieszczenie klubowe jest bardzo ładne, czyste i estetyczne, z ładnym i nowoczesnym oświetleniem wnętrza. Meble handlowe również ładne i nowoczesne. Trochę gorzej wygląda meble klubowe, a przede wszystkim stoliki.

— Mamy też trochę sprzętu radiowo-telewizyjnego — dodaje gospodyni. — Jest telewizor do odbioru programów kolorowych, radio stereofoniczne, magnetofon szpulowy, adapter, fonobryki. Są też meble pomocnicze, jak: gabloty prasowe, szafy biblioteczne, stoliki pod sprzęt audiowizualny itp. Klub był zresztą dwa lata temu odnawiany i dla tego tak ładnie wygląda.

Klub mieści się w budynku, stanowiącym własność miejscowego PGR. Widać, że gospodarz obiektu potrafi zadbać o wygląd estetyczny — swoje placówki kulturalno-oświatowe.

— W klubie jest też punkt biblioteczny — uzupełnia Maria Wiśnik — z około 350 tytułami książek i 54 stałymi czytelnikami. Ponadto działa dziecięce koło plastyczne, do którego należą: Agnieszka Kowalska, Monika, Zbigniew i Daniel Marcinkowscy, Mariusz Żukowski, Sławomir Dulnik i inni. Te swoje dzieci są również członkami teatryku kukielkowego pod nazwą „Słomiane ognie”.

Działalność w klubie teatr „Przy kawie” który przybrał nazwę „Kubanki”.

Podobno nazwa ta pochodzi od nazwiska Tadeusza Kubiaka. Teatrzyk wystąpił parę razy w Klubie, a ponadto dwa razy na przeglądach rejonowych w Krośnie Odrzańskim z programem pt. „Czarne niebo” opracowanym na podstawie swojego własnego scenariusza. Teraz teatr przygotowuje się do następnych przeglądów.

— Szkoda, że nie mamy żadnej organizacji młodzieżowej — dodaje Adam Brenek. — Wtedy nasza działalność byłaby niewątpliwie jeszcze bogatsza.

— Ale mamy radę klubu — przerywa gospodyni.

Nowy skład rady wybrano niedawno. Należą do niej: Krzysztof Rudzki — przewodniczący rady, Tadeusz Dulnik — zastępca przewodniczącego oraz członkowie: Krzysztof Szul, Adam Brenek, Adam Zieliński, Danuta Jarocka, Maria Nieziurowska i Maria Wiśnik.

— Klub w Kole, podobnie jak i wszystkie inne tego typu placówki kulturalne — oświatowe na wsi jest miejscem spotkań towarzyskich. Tu odbywają się akademie okolicznościowe, zebrania wiejskie i dyskoteki. Jest to też miejsce, gdzie wyświetla się filmy, wystawia prelekcje, przeprowadza się próby teatrykowe, organizuje się imprezy kulturalne. Jednym słowem, jest to w pewnym sensie mały, wiejski ośrodek kulturalny.

Kiedyś mieliśmy tu animatorkę kultury — snuje swoją myśl Maria Wiśnik. — Była nią Danuta Jarocka, ale odeszła w grudniu ubiegłego roku. Wtedy było mi żal, bo wyręczała mnie w różnych pracach merytorycznych. Chciałabym muszę powiedzieć, że i teraz mi jeszcze wciąż pomaga.

Istotnie, to bardzo ważne, jeżeli gospodarz klubu ma pomoc w swojej trudnej pracy. Stwierdziłbym już, że te kluby, które posiadają animatorów kultury, wykazują znacznie prężniejszą działalność merytoryczną.

Szkoda tylko, że w klubie, w którym przebywa bardzo dużo młodzieży i dzieci nie ma prawie żadnych gier stołowych za wyjątkiem jednego kompletu starych szachów.

ZENON CZARNECKI

KONKURS MONOGRAFICZNY

„Wpisani w miasto”

Muzeum Regionalne w Barlinku ogłasza konkurs monograficzny — otwarty — dla wszystkich mieszkańców Miasta i Gminy Barlinek na wspomnienia „Wpisani w miasto”.

W pracach konkursowych należy ująć: całość życia i pracy uczestnika konkursu (życie rodzinne, praca zawodowa i społeczna, obraz przekształcającego się miasta).

Do udziału w konkursie zapraszamy tych mieszkańców, którzy swoją pracą społeczną i zawodową przyczynili się do odbudowy naszego miasta, lub kontynuują dzieło swoich poprzedników.

Uczestnik konkursu powinien dokonać dokładnego opisu: zdarzeń, wydarzeń i faktów (data, miejsce i rok), jak również do-

łączyć dokumenty na czas oceny pracy przez komisję konkursową.

KONKURS JEST DWUETAPOWY:

- dla młodzieży szkolnej na album o rodzinie, mieście i jego historii, zawierający krótką część opisowo-informacyjną oraz fotograficzną
- dla każdego, na pamiętnik, dziennik, wspomnienie składające się z części opisowej (zasadniczej), fotograficznej, wycin ków z pras, innych dokumentów oddających i potwierdzających fakty i wydarzenia.

Forma wypowiedzi dowolna; w maszynopisie lub czytelnym rękopisie. Praca ma być opatrzona „godłem”. W oddzielnej kopercie winno znaleźć się godło wraz z dokładnym adresem, nazwiskiem i imieniem uczestnika konkursu. Praca konkursowa winna być przesłana listem poleconym lub osobiście doręczona na adres: MUZEUM REGIONALNE W BARLINKU.

74-320 BARLINEK, ul. NIEPODLEGŁOŚCI Nr 17, do dnia 15 września 1986 roku.

NAGRODY:

Organizator konkursu przewiduje następujące nagrody:

1. dla młodzieży szkolnej: I. nagroda 5.000, II. — dwie po 3.000, III. — dwie po 2.000, dla pozostałej młodzieży biorącej udział w konkursie nagroda uczestnictwa 400 zł
2. dla każdego: I. nagroda 10.000, II. — dwie po 7.000, III. — dwie po 4.000, dla pozostałych uczestników konkursu nagroda za udział w konkursie w wysokości 1.000 zł.

Informacji udziela Muzeum Regionalne, w godzinach urzędowania — od wtorku do piątku w godzinach 8.00 — 15.00, soboty i niedziele w godzinach 10.00 — 16.00 lub telefonicznie pod numerem 61-559.

LISTY

Konsylia niekompetentnych

W związku z artykułem „Konsylia niekompetentnych” zamieszczonym w rubryce „Postawy” — Nadodrże nr 4 Zakład Ubezpieczeń Społecznych Oddział w Zielonej Górze stwierdza, że pobierana przez ob. Irenę Kowalską, zam. w Zaganiu ul. Dzierżyńskiego 11/8 renta inwalidzka z tytułu choroby zawodowej wg III grupy została przyznana po raz pierwszy decyzją z dnia 15.11.1983 r. Z postanowieniem decyzji odnośnie grupy inwalidzkiej nie zgadzała się ob. Irena Kowalska wnosząc odwołanie do Okręgowego Sądu Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Sulechowie z żądaniem przyznania II grupy inwalidzkiej z tyt. zachorowania na chorobę zawodową. Po zasięgnięciu opinii lekarza — specjalisty, OSPiUS wyrokiem z dnia 10.07.1984 r. zmienił decyzję Oddziału i przyznał wnioskodawcy rentę wg II grupy. Obywatelka Irena Kowalska skierowała wniosek o przyznanie renty inwalidzkiej wg II grupy począwszy od 2 października 1983 r. tj. od dnia ustania zatrudnienia z ustaleniami wyroku nie zgodziła się Wojewódzki Inspektor Orzecznictwa Inwalidzkiego wnosząc zastrzeżenia do opinii biegłego, co do ustalenia II grupy inwalidzkiej z tyt. choroby zawodowej. W związku z powyższym akta rentowe w/w przesłano do ZUS w Warszawie z prośbą o zgłoszenie wniosku o rewizję nadzwyczajną, ponieważ wyrok OSPiUS rażąco narusza prawo przez błędne przyznanie skarżącej uprawnień do renty inwalidzkiej z tyt. choroby zawodowej w wysokości przewidzianej dla II grupy. Po rozważeniu sprawy uwzględniając wniosek Centrali ZUS — Minister Pracy, Płac i Spraw Socjalnych wniosek rewizji nadzwyczajnej na do Sądu Najwyższego z wnioskiem o uchylenie tego wyroku i przekazanie sprawy do ponownego rozpoznania Okręgowemu Sądowi. Sąd Najwyższy rozpatrując sprawę wydał postanowienie w dniu 22.01.85 polecając Oddziałowi „wstrzymać wykonanie

zaskarżonego wyroku do czasu rozpoznania sprawy wskutek rewizji nadzwyczajnej”.

Wykonując to polecenie, Oddział wstrzymał wypłatę renty z dniem 1.03.1985 r. Wstrzymanie wypłaty świadczenia nastąpiło zatem na skutek postanowienia Sądu Najwyższego w związku z wniesieniem rewizji nadzwyczajnej od wyroku Okręgowego Sądu, którym naruszono prawo oraz interes Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, a nie na skutek „kontroli” z Ministerstwa Pracy, Płac i Spraw Socjalnych”, jak przedstawiono to w artykule.

W dniu 1985-02-12 Sąd Najwyższy po rozpoznaniu sprawy wydał wyrok uchylający zaskarżony wyrok i sprawę przekazał do ponownego rozpoznania Okręgowemu Sądowi Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Zielonej Górze z siedzibą w Sulechowie. W uzasadnieniu wyroku Sąd Najwyższy stwierdził, iż rewizja nadzwyczajna jest uzasadniona. Poza kwestiami lekarskimi Sąd Najwyższy uwzględnił rewizję nadzwyczajną, ponieważ zaskarżony wyrok narusza także interes PRL.

W uzasadnieniu, między innymi czytamy: „Na skutek bowiem przyznania wnioskodawcy tak uprzywilejowanego świadczenia jakim jest renta inwalidzka wg II grupy inwalidzkiej, bez wstępnego wyjaśnienia sprawy mogło dojść do nieuzasadnionego uszczuplenia funduszy społecznych, zważywszy w szczególności, że chodzi o comiesięczne świadczenie pieniężne. Jak wykazano w rewizji nadzwyczajnej, różnica między rentą inwalidzka z tytułu choroby zawodowej wg II grupy a taką rentą wg III grupy inwalidzkiej wynosi w przypadku wnioskodawcy 3.450 — zł miesięcznie.

Sąd Wojewódzki Sąd Pracy i Ubezpieczeń Społecznych rozpatrując ponownie sprawę, przeprowadził dowód opinii lekarza biegłego i opierając się na wynikach badań przeprowadzonych w klinice w Poznaniu wydał wyrok w dniu 1985-12-05 oddalający odwołanie ob. Ireny Kowalskiej. Wyrok wyłożył do Oddziału 1986-01-09, po tej też dacie Oddział mógł wznosić wypłatę świadczenia, co też uczynił decyzją w dniu 1986-01-22. Od chwili wniesienia przez ob. Irenę Kowalską odwołania od decyzji O/ZUS z dnia 1983-11-15 do OSPiUS — sprawa była załatwiana bez uchybienia stosownych terminów.

Oddział jest zobowiązany wykonać wyrok sądowy, a nie wnioski zawarte w opiniach biegłych lekarzy. Stwierdzenie zatem, że „po takim orzeczeniu renomowanej kliniki zapadło kilkumiesięczne milczenie ze strony odpowiednich urzędów” — nie znajduje potwierdzenia w aktach rentowych ob. Ireny Kowalskiej w odniesieniu do O/ZUS w Zielonej Górze. Przeprowadzone przez Sąd postępowanie dowodowe miało więc na celu wyświadczenie wszystkich wątpliwości w tej sprawie.

Dyrektor mgr RYSZARD BAK

Filatelistyczna znieczulica

W odpowiedzi na notatkę prasową pt. „Filatelistyczna znieczulica” („Nadodrże” nr 5 z br.) wyjaśniam co następuje:

1. Zmiana lokalizacji sklepu filatelistycznego jest podyktowana koniecznością poszerzenia i modernizacji księgarni KMPiK. Sklep filatelistyczny mieści się bowiem w budynku KMPiK i sąsiaduje z księgarnią. Nie zapadła jeszcze w tej mierze żadna decyzja, chociaż przeprowadziliśmy już rozmowę z władzami administracyjnymi miasta i uzyskaliśmy pełną aprobata dla naszych przedsięwzięć. Dopóki jednak nie znajdziemy odpowiedniego pomieszczenia do prowadzenia sklepu filatelistycznego, nie będą dokonane żadne zmiany.

Faktem jest, że rozważaliśmy możliwość przeniesienia sklepu filatelistycznego do pomieszczenia przy ul. Mieszka I. Spośród dostępnych nam pomieszczeń, jedynie sklep przy ul. Mieszka I spełnia warunki do prowadzenia tego typu działalności. Będziemy jednak czynić starania u władz miasta, aby pozyskać bardziej odpowiedni lokal w śródmieściu.

2. Poczynamy także starania u władz miasta Żary w celu pozyskania lokalu do prowadzenia sklepu filatelistycznego. Z chwilą otrzymania odpowiedniego pomieszczenia przystąpimy niezwłocznie do urządzenia i uruchomienia sklepu filatelistycznego w Żarach.

Dyrektor PUPIK „Ruch” mgr JAN TADROWSKI

SZCZECIN. 9 spektakli konkursowych i 3 pozakonkursowe przedstawili publiczności i jury uczestnicy XXI Ogólnopolskiego Przeglądu Teatrów Małych Form. Przedstawienia odbywały się w tradycyjnych salach domów kultury, w fabrykach, szkołach, oglądane z dużym zainteresowaniem publiczności. Grand Prix ex aequo otrzymali spektakle „Partytura” (zespół Pracownia Teatr w Warszawie, składający się także z byłych aktorów zielonogórskiej sceny dramatycznej) i Repetycja Teatralna z „Pięknych dwudziestolecia” (Scena Studio z Łodzi).

W okazji 41 rocznicy wyzwolenia Szczecina (26 kwietnia) odbyło się wiele imprez kulturalnych. Uroczystość wręczenia nagród wojewody szczecińskiego za wybitne osiągnięcia w dziedzinie kultury, sztuki i nauki zgromadziła najwybitniejszych twórców i uczonych. Nagrody otrzymali, m.in.: chor. Związku Zawodowego Kolejarzy „Hejnal”, Goleniowskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, Stargardzkie Centrum Kultury, redakcja „Kurier Szczeciński”, dyrygent Elżbieta Berczyńska.

Kus, dyrektor Okręgowego Przedsiębiorstwa Rozpoznawania Filmów (w tym: województwo gorzowskie) Stanisław Kochański, artysta malarz Jerzy Kosciński-Brzozowski, aktor Andrzej Oryl.

Tradycyjnie w maju szczeciński Dom Książki organizuje wielki kiermasz i spotkania z czytelnikami. Tegoroczny kiermasz odbył się na dziedzińcu Zamku Książąt Pomorskich, a swoje książki podpisywali autorzy szczecińscy i zaproszeni z całej Polski. W maju na Pomorzu Zachodnim odbędzie się około 1600 spotkań autorskich, organizowanych przez związki zawodowe, instytucje kultury i szkoły.

KOSTRZYN. Otwarcie nowego lokalu Miejskiej Biblioteki Publicznej w Kostrzynie zainaugurowano w województwie gorzowskim Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy. Dotąd księgarnia kostrzyńska była zlokalizowana w niewielkim pomieszczeniu przy hotelu miejskim, a miasto rozrosło się nie mogąc zapewnić wszystkim dostęp do księgozbioru publicznego. W pobliżu dawnej biblioteki zaadaptowano na oddział dla dorosłych pawilon o powierzchni 150 m kw. W nowym pomieszczeniu znalazła się także czytelnia. Lokal przy hotelu będzie oddziałem dla dzieci. Rozwiązanie to nie odpowiada ambicjom miasta, jednak za jakiś czas lagodzi problemy czytelnice kostrzyńskie.

SWIEBODZIN. W sali widowiskowej Swiebodzińskiego Domu Kultury wystąpił Zespół Pieśni i Tańca „Młodość” z Witebska na Białorusi. Zespół istnieje od 1960 r., propaguje folklor białoruski. Artysty amatorzy z Witebszczyzny przybyli na środkowe Nadodrże na zaproszenie lubuskiej władz. Prócz koncertów witebszczanie spotkali się z władzami Zielonej Góry, kierownictwem Zarządu Wojewódzkiego TPPR, byli gośćmi Lubuskiego Zespołu Pieśni i Tańca.

ZIELONA GÓRA. 40 lat temu z inicjatywy społecznej powstała w stolicy środkowego Nadodrza szkoła muzyczna, 30 lat temu utworzone stowarzyszenie „Orkiestra Symfoniczna w Zielonej Górze”. W 1961 r. na Ziemi Lubuskiej było już 59 ognisk muzycznych. Z inicjatywy Wydziału Kultury Prezydium WRN powołano Lubuskie Towarzystwo Muzyczne im. Henryka Wieniawskiego, które przyjęło na siebie obowiązki opiekuna i koordynatora edukacji muzycznej. Obecnie LTM prowadzi naukę w 15 ogniskach i blisko 40 punktach nauczania, skupiając około 2,5 tys. dzieci i młodzieży. W wielu miastach istnieją podstawowe szkoły muzyczne, ale są i takie ośrodki (Lubsko, Wolsztyn, Babimost, Sulechów), w których z różnych powodów nie można zorganizować państwowej oświaty muzycznej. Właśnie w tych miasteczkach działają ogniska muzyczne, a najlepiej ich uczniowie i absolwenci dostają się do państwowych szkół. Nauka w ogniskach muzycznych jest odpłatna, bowiem LTM korzysta z niewielkich dotacji państwa. W ubiegłym roku w Gubinie za naukę płacono 1200 zł miesięcznie, przy kosztach 2000 tys. zł. W Zaganiu koszt ten wynosił 3310 zł, odpłatność ustalono na 1000 zł. Działalność LTM zastanawia się, jak długo można podnosić odpłatność. Dawniej pomocy finansowej udzielały niektóre zakłady pracy, szkoły, instytucje upowszechniania kultury. Obecnie nawet PGR-y nie chcą dopłacać do nauki dzieci swoich pracowników. Podczas spotkania w LTM dyrektor ogniska z Lubuska stwierdził, że posiadany fundusz ledwie starcza na opłacenie nauczycieli i składki ZUS. Podrażał sprzęt muzyczny, opłaty za użytkowanie lokali, nie wyjaśniono, czy działalność edukacyjna ognisk muzycznych jest działalnością gospodarczą, a jeśli tak, to ogniska powinny płacić podatki (jak fabryki). LTM wrosło w pejzaż muzyczny Ziemi Lubuskiej, organizuje recitale, koncerty, konkursy, popisy nigdy nie myślic o osiągnięciu zysku.

LUBAN. Od 11 lat działa Muzeum Osadnictwa Wojskowego, powołane przez Dolnośląskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne. Jest to jedyna tego rodzaju placówka w Polsce, gromadząca dokumenty osadnictwa na ziemiach zachodnich i północnych.

DNI KULTURY. Od wielu lat w maju odbywają się Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy. Z tej okazji oddawane są do użytku nowe placówki, odbywają się spotkania czytelników z twórcami kultury, najwybitniejsi artyści i działacze otrzymują odznaczenia i nagrody. W Zielonogórskim Dni zainaugurowano otwarcie wystawy rysunków Jana Marcina Szancera. W Gościszewicach odbędzie się wystawa prac twórców ludowych w Żarach — Wojewódzki Przegląd Instrumentów Dętych, w Strzelcach Kraju — konkurs gitary klasycznej, w Międzyrzeczu — konkurs akordeonowy, w Ślubicach — turniej poezji miłosnej, w Sulechowie — konkurs pianistyczny.

LAUREACI: dziennikarz jeleniogórscy Andrzej Kepiński i Zbigniew Kilar, autorzy książki „Kto jest kim w Polsce — inaczej”, otrzymali nagrodę magazynu „Razem”; drugą nagrodę za wiersz otrzymał Kazimierz Jan Furman z Santocka podczas II Lubuskich Spotkań z Literaturą Miłosną; w kolobrzeskim konkursie piosenki żołnierskiej weźmie udział reprezentant Międzyrzeckiego Domu Kultury — Stanisław Węclowski.

ZAPROSILI NAS: Wojewódzki Komitet Stronnictwa Demokratycznego w Zielonej Górze na akademię 3-Majowa; Wojewódzki Komitet Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego w Zielonej Górze na Święto Ludowe do Łagowa; Zarząd Wojewódzki ZSMP w Zielonej Górze na uroczystości z okazji 10-lecia organizacji i wręczenia Nagrody Twórczej Młodych „Zielone Grono”; Zarskie Towarzystwo Kultury na wystawę ekslibrisów ze zbiorów WIMBP im. C. K. Norwida w Zielonej Górze; Festiwal Filmów Krótkometrażowych w Krakowie na pokazy; Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Zielonej Górze na otwarcie wystawy ilustracji książkowej Jana Marcina Szancera; organizatorzy spotkania wyróżniającej się w nauce młodzieży szkolnej i akademickiej z okazji 100 rocznicy urodzin Tadeusza Kotarbińskiego; Biuro Wystaw Artystycznych w Zielonej Górze na otwarcie wystawy „Pracownia doc. A. Dłużewskiego”; Klub Międzynarodowej Prasy i Książki w Zielonej Górze na otwarcie wystawy pokonkursowej „Prasa” i seminarium; Teatr Lubuski na premierę spektaklu „Tymoteusz Rymcimi” II część. Dziękujemy.

NADODRZE

DWYTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ORGAN LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 65-067 Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13, l.p. oraz adres dla korespondencji: 65-355 Zielona Góra, skrytka pocztowa nr 46. Telefon: redaktor naczelny i sekretarz — 705-35, sekretarz redakcji — 39-13 oraz centrala — 46-61 do 7. Łączny telefon wewnętrzny: Telex — 043-2293.

Redaguje zespół: Halina Ańska-Skarbek, Lucyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red. graf. tech.), Michał Horowicz, Janusz Konusz (red. naczelny), Małgorzata Kowalska-Masłowska (stżyżystka), Zenon Łukaszewicz (z-ca red. naczel.), Wiesław Podzyski (sekretarz red.), Piotr Piotrowski



Wielki kiermasz i spotkania z czytelnikami. Tegoroczny kiermasz odbył się na dziedzińcu Zamku Książąt Pomorskich, a swoje książki podpisywali autorzy szczecińscy i zaproszeni z całej Polski. W maju na Pomorzu Zachodnim odbędzie się około 1600 spotkań autorskich, organizowanych przez związki zawodowe, instytucje kultury i szkoły.

Tradycyjnie w maju szczeciński Dom Książki organizuje wielki kiermasz i spotkania z czytelnikami. Tegoroczny kiermasz odbył się na dziedzińcu Zamku Książąt Pomorskich, a swoje książki podpisywali autorzy szczecińscy i zaproszeni z całej Polski. W maju na Pomorzu Zachodnim odbędzie się około 1600 spotkań autorskich, organizowanych przez związki zawodowe, instytucje kultury i szkoły.

Tradycyjnie w maju szczeciński Dom Książki organizuje wielki kiermasz i spotkania z czytelnikami. Tegoroczny kiermasz odbył się na dziedzińcu Zamku Książąt Pomorskich, a swoje książki podpisywali autorzy szczecińscy i zaproszeni z całej Polski. W maju na Pomorzu Zachodnim odbędzie się około 1600 spotkań autorskich, organizowanych przez związki zawodowe, instytucje kultury i szkoły.

Wielki kiermasz i spotkania z czytelnikami. Tegoroczny kiermasz odbył się na dziedzińcu Zamku Książąt Pomorskich, a swoje książki podpisywali autorzy szczecińscy i zaproszeni z całej Polski. W maju na Pomorzu Zachodnim odbędzie się około 1600 spotkań autorskich, organizowanych przez związki zawodowe, instytucje kultury i szkoły.

Wielki kiermasz i spotkania z czytelnikami. Tegoroczny kiermasz odbył się na dziedzińcu Zamku Książąt Pomorskich, a swoje książki podpisywali autorzy szczecińscy i zaproszeni z całej Polski. W maju na Pomorzu Zachodnim odbędzie się około 1600 spotkań autorskich, organizowanych przez związki zawodowe, instytucje kultury i szkoły.

Wielki kiermasz i spotkania z czytelnikami. Tegoroczny kiermasz odbył się na dziedzińcu Zamku Książąt Pomorskich, a swoje książki podpisywali autorzy szczecińscy i zaproszeni z całej Polski. W maju na Pomorzu Zachodnim odbędzie się około 1600 spotkań autorskich, organizowanych przez związki zawodowe, instytucje kultury i szkoły.

Wielki kiermasz i spotkania z czytelnikami. Tegoroczny kiermasz odbył się na dziedzińcu Zamku Książąt Pomorskich, a swoje książki podpisywali autorzy szczecińscy i zaproszeni z całej Polski. W maju na Pomorzu Zachodnim odbędzie się około 1600 spotkań autorskich, organizowanych przez związki zawodowe, instytucje kultury i szkoły.

Wielki kiermasz i spotkania z czytelnikami. Tegoroczny kiermasz odbył się na dziedzińcu Zamku Książąt Pomorskich, a swoje książki podpisywali autorzy szczecińscy i zaproszeni z całej Polski. W maju na Pomorzu Zachodnim odbędzie się około 1600 spotkań autorskich, organizowanych przez związki zawodowe, instytucje kultury i szkoły.

Wielki kiermasz i spotkania z czytelnikami. Tegoroczny kiermasz odbył się na dziedzińcu Zamku Książąt Pomorskich, a swoje książki podpisywali autorzy szczecińscy i zaproszeni z całej Polski. W maju na Pomorzu Zachodnim odbędzie się około 1600 spotkań autorskich, organizowanych przez związki zawodowe, instytucje kultury i szkoły.

Wielki kiermasz i spotkania z czytelnikami. Tegoroczny kiermasz odbył się na dziedzińcu Zamku Książąt Pomorskich, a swoje książki podpisywali autorzy szczecińscy i zaproszeni z całej Polski. W maju na Pomorzu Zachodnim odbędzie się około 1600 spotkań autorskich, organizowanych przez związki zawodowe, instytucje kultury i szkoły.

Wielki kiermasz i spotkania z czytelnikami. Tegoroczny kiermasz odbył się na dziedzińcu Zamku Książąt Pomorskich, a swoje książki podpisywali autorzy szczecińscy i zaproszeni z całej Polski. W maju na Pomorzu Zachodnim odbędzie się około 1600 spotkań autorskich, organizowanych przez związki zawodowe, instytucje kultury i szkoły.

Wielki kiermasz i spotkania z czytelnikami. Tegoroczny kiermasz odbył się na dziedzińcu Zamku Książąt Pomorskich, a swoje książki podpisywali autorzy szczecińscy i zaproszeni z całej Polski. W maju na Pomorzu Zachodnim odbędzie się około 1600 spotkań autorskich, organizowanych przez związki zawodowe, instytucje kultury i szkoły.

Zgrany zespół ludzki rozważał na swojej sesji plenarnej obowiązujący system rozdzielności nagród kwartalnych. Suma pieniędzy, którą rozdziela się między ludzi, wywołalaby u głównego księgowego państwowego gospodarstwa rolnego, jako jego własna premia, uczucie niesmaku, ponizienia. Dla niego to jałmużna. W tym zespole owe żalozne pieniądze dzieli się za formalne wykonywanie zobowiązań wobec firmy. Wbrew samej idei nagrody, przy podziale, facet który ciężko głowił, w pocie czoła realizował społecznie ważne zadanie, otrzymuje, tyle samo, co gość działający na zupełnym luzie, realizujący zadania lewą nogą w postawie leżącej. Mimo, że dyskusja była o pieniądzu, oratorskich popisów nie było. Zwyciężyła idea demokracji i utrzymywanie stanu równowagi w zespole. Podany w wątpliwość system nadal będzie obowiązywał.

Będzie jak jest. W Polsce obowiązuje obecnie 42 godzinny tydzień pracy. Formalnie rejestrowany czas pracy mówi o tym, że faktycznie pracujemy 35,8 godzin. Czyli, że mamy nie tylko wolne soboty ale również, co jest bezprecedensowe w skali światowej, prawie cały wolny piątek. W RFN w ciągu tygodnia przepracowuje się efektywnie 41 godzin, w Japonii 41,4. Szwajcarii 43 godzin.

Jesteśmy społeczeństwem niesłychanie chorowitym. Czerdziestolatków na rencie, zdrowych jak byki, mamy legio

ny. Zaś wśród zatrudnionych ze zwolnień lekarskich korzysta codziennie jeden milion i dwieście tysięcy osób! Postulat dokładnego wyleczenia tylko jednej czwartej tych chorych, spowodowałby faktyczny przyrost zatrudnienia o 200 tysięcy osób!

Pracujemy formalnie przez 35,8 godzin tygodniowo. Gdyby jednak odliczyć czas na papieroska, dyskusję o meczu, stanie w ogonku po wiertło, szuka nie majstra w pakamerze, przestój z braku niedostarczonego na czas przez kooperanta piasku, to okazałoby się że nasz piątek jest całkiem wolny a nawet częściej czwartku. W rzeczywistości nasz tydzień pracy wynosi 30 godzin.

Pracujemy jak w Indiach. Chcemy żyć jak w Szwecji.

W Polsce 1981 roku ponad dwieście tysięcy osób samowolnie porzuciło pracę, w roku 1982 prawie 300 tysięcy! Na woływanie publicystów o podniesienie rangi pracy jako wartości określającej miejsce jednostki w społeczeństwie, ma swój głęboki sens. W moim jednak przekonaniu, to nawoływanie o szacunek dla pracy, powinno mieć precyzyjnie wyznaczonego adresata. Nie może nim być wykonawca stojący przy maszynie, robotnik, szeregowy pracownik. W samej naturze człowieka jest chęć dobrego wykonywania obowiązków. Natomiast okoliczności — suma bałaganu — przeszkadzają, w ujawnianiu tej skłonności. Tworzenie kultury pracy dzisiaj w Polsce zależy nie od publi

cystów, komisji odznaczeń, fotografów robiących zdjęcia do gablot z przodownikami a od twórców systemów płacowych, ekonomistów mających wpływ na rangę złotówki, organizatorów procesu produkcyjnego.

Rodzi się we mnie przekorna myśl, że wołanie o etos pracy jest obecnie hasłem przewrotnym. Bo gdyby to hasło zostało przyjęte przez społeczeństwo, gdyby z godziny na godzinę każdy stał się pracusiem, to w skutku rynek bubi już obecnie zapełniony, byłby wprost przepełniony, zaś tory kolejowe zapełniłyby się pociągami pełnymi towarów odrzuconych przez zagranicznych klientów. Mogłoby się stać to co w pesymistycznych snach jest koszmarem wielu ekonomistów: nagłe zaprzestanie picia alkoholu doprowadziłoby do kompletnego załamania całej naszej gospodarki. Dziś w sklepach nie ma piwa, kolorowych telewizorów i wielu innych rzeczy. Abstynencja spowodowała to, że nie byłoby nawet soli.

Z wyleczeń wynika że w pięć latce orbybędzie około 250 tysięcy nowych pracowników. Jak się wydaje na podstawie faktów, liczba półtora miliona nie jest — acją etosu — acy teoretycznie jest u nas dobrze, natomiast z — ośa bardzo dobrze! — przyroście naturalnym skutecznym do goniliśmy już niektóre kraje Trzeciego Świata.

RYSZARD ROWIŃSKI

TO TYLKO SPORT

Zawodowcy i kulturystki

W swojej najnowszej sądziłem, że już nie w naszym sporcie nie jest mnie w stanie zaskoczyć. Zadane niedziele cudów w lidze piłkarskiej, kupowanie siedziów, sprzedawanie punktów... A jednak myślałem się. Oto podczas niedawnej wizyty w gminie oddalonej od Zielonej Góry o jakieś czterdzieści kilometrów, trafiłem na zawodowych piłkarzy. Czytelnik zorientowany nieco w realiach krajowej piłki pomyśli zapewne, że odwiedziłem jednego z lubuskich trzecioligowców — Pogon Świebodzin czy Czarnych Zagani.

Otoż nie! Moi zawodowcy grają w B-klasowej drużynie, a dokładniej mówiąc plasują się w niej na czwartym miejscu. Nazwę klubu przemilczę, bo nie to jest najważniejsze. Tak oto mamy piękną kłame — z jednej strony frymarchą punktami ekstraklasę, na drugim zaś biegnie B-klasowych piłkarzy zwałnianych z pracy na poranne trenunki.

Tegoroczny (klub piłkarskiej ekstraklasie synały znow zaskakującymi wynikami. Dopiero straszak w postaci specjalnego komunikatu PZPN, o działaniu mobilizującego na piłkarzy chorożowskiego Ruchu. W dziesięciu wio-

semych meczach tak kupczyli oni punktami, że nie strzelili ani jednej bramki. To chyba rekord Polski. Gdy jednak piłkarska centrala wszczęła dochodzenie, chorowanie w dwóch meczach strzelili... sześć bramek.

W końcówce sezonu wygrali ci, którzy mieli więcej pieniędzy. Zresztą rzecz dotyczy nie tylko ligi piłkarskiej. Jeden z koszykarzy Śląska nie robił tajemnicy z tego, że jego zespół oddał punkty Baildonowi Katowice, za co wrocławianie skasowali po pięćdziesiąt tysięcy złotych na głowę. W mieście Stali, jak wiesz niesie, przeznaczono na utrzymanie w liże pierwszoligowej sekcji piłki ręcznej pięć milionów złotych. Stalowcy wygrali więc ostatnio mecz w okolicznościach, delikatnie mówiąc, dziwnych.

Jak Polska długa i szeroka, począwszy od rozgrywek ekstraklas na B-klasach skończywszy, handluje się punktami. Niedawno miałem okazję rozmawiać z piłkarzem grającym od ośmiu lat w III lidze. Wysłuchałem monologu o tym jak się załatwia sprawy z sędziąmi, kwalifikatorami PZPN (ci są ponoć najważniejsi), wreszcie zawodnikami drużyny przeciwniej.

Skóra cierpie...

Na szczęście ligi powoli nam się już kończą. Nadchodzi pora Mundialu. Tam przynajmniej jest gwarancja (?), że nikt nikomu punktów nie sprzeda. Choć jeśli przypomnieć mecz Austria — RFN z 1982 roku...

Póki co, cieszymy się z sukcesów naszych kulturystów. Tak oto po brydżu, bojerach (nie mylić z bajerami), pingpongu, lataniu precyzyjnym, kick-boxingu i karate, staliśmy się europejską potęgą w kolejnej dyscyplinie. Załóżmy tylko wypada, że nasze panie — kulturystki nie sięgnęły po laury w tym jakże kobiecym sporcie. Z przyjemnością spoglądałem na te piękne bicepsy i klatki z piersiami. Telewizja poświęcała zmaganiom mięśniowców niemal połowę niedzielnego programu, a podniecony działacz namawiał wsty skie panie do treningu kulturystycznego. To dobra myśl. Choć może lepiej zacząć od bardzo popularnego wśród Węgiek na przykład, podnoszenia ciężarów.

Jeśli paniom to nie odpowiada, polecam zapasy lub ewentualnie boks...

MIECZYSLAW WIECKOWICZ

dów finansowych mogą sobie na to pozwolić, powszechna dostępność telefonów w kraju: w każdym oddanym do użytku mieszkaniu powinien znajdować się telefon oraz powszechna dostępność obiektów sportowych. Można mniemać, że po uprzednim rozwiązaniu problemów gospodarczych (żywnościowych, budownictwa mieszkaniowego itp.) marze nia p. Nowaczka zostaną w pełni zrealizowane. I wówczas dogonimy cywilizowany świat.

LITERACI I SKANDALE. Mija 30 lat od powstania grupy literackiej „Współczesność”, po której pozostało kilku wybitnych twórców i sporo legendy, zresztą niebezpiecznej. Piotr Kunciewicz w „Przeglądzie Tygodniowym” (nr 18) w kolejnym szkicu, poświęconym dziejom polskiej literatury, tak m.in. pisze o zmarłym niedawno Ireneuszu Iredyńskim: „Ale po prawdzie, to szerszy nie ko kregach znana była nie tyle twórczość Iredyńskiego, ile fama skandalu, która go w ówczes, dawno już minionych latach otaczała. Zaciętożone życie, okrutne docioty, obłąkające wycieczki bez liczenia się z jakimikolwiek konsekwencjami, a przede wszystkim ostentacyjnie bujne i skandalizujące życie i poczynania erotyczne. Zdradziły cokolwiek: więc to on z

pełnej aktorki uczynił na mocno alkoholowym przyjęciu efektowny kwiecik, przy czy otworem, w którym ona kwiecia czy gromnica została osadzona nie były bynajmniej usta... Ale wżystkiego na wolowej skórze by nie spał, a legenda podwajała jeszcze rzeczywistość. Skoro zaś o kawałach moica, to trzeba powiedzieć, że sekundował mu w nich najczęściej Jerzy Falkowski, jeden z inicjatorów festiwalu opolskiego, niezmiernie inteligentny krytyk, człowiek, który pierwszy bodaj odkrył Gro towieca, legendarny oberwaniec i nerwowiec, o którym Grochowiak twierdził, że nawet umyły do czysta i rozebrany w sterylnej ampule wydzieliłby z siebie określona ilość niedopalików, paprochów i potamanych zapalek. To Falkowski wprawił w ostupienie opolskie pogotowie, pojawiając się w upólnym lipcu z odmożnieniami stóp — za snął po prostu w stanie nieważkości w samochodzie — chłodni... Na tym le wycieczny współczesnych poetów wydają się być dziecinnyymi igraszkami.

POWINNOŚCI PISARZY. Pod takim tytułem Jan Pleszczachowicz publikuje w „Tygodniku Kulturalnym” (nr 18) felieton literacki, pisząc m.in.: „Symbolem naszego czasu zdają się być Skirałowki, prezentowane obecnie na ostatniej stronie „Tygodnika Kulturalnego”. Nie mam nie przecieku Nienackiemu, byle tylko podgrzewający w trakcie kopolacji z Widłagowej nie przesłonił literaturę reszty świata”. A już przesłonił? O PRACY ZŁEJ. Rzeczowe refleksje pt. „Jak pracujemy” drukuje w tygodniku „Tak i Nie” (nr 18) Piotr Biernat, konkludując: „Wszyscy więc dobrze wiedzą, że nie pracujemy jak trzeba, że od lot nawala organizacja, że nikomu nie nie opłaca ruszać ani ręką, ani głową, że etos i wartość pracy zupełnie zanika. Powstaje coraz to nowe opracowanie, teorie, pomysły. Co tużdzien w naszym ukazuje się na ten temat artykuł, pisze się o tym książki, mówi w radiu i w ministerstwach, w Sejmie i w... kolejnych. Póki co jednak, nie z tego nie wynika. Nieretety”. Owszem, widać. Kolejny artykuł katowickiego publicysty.

???

KUPON NR 10

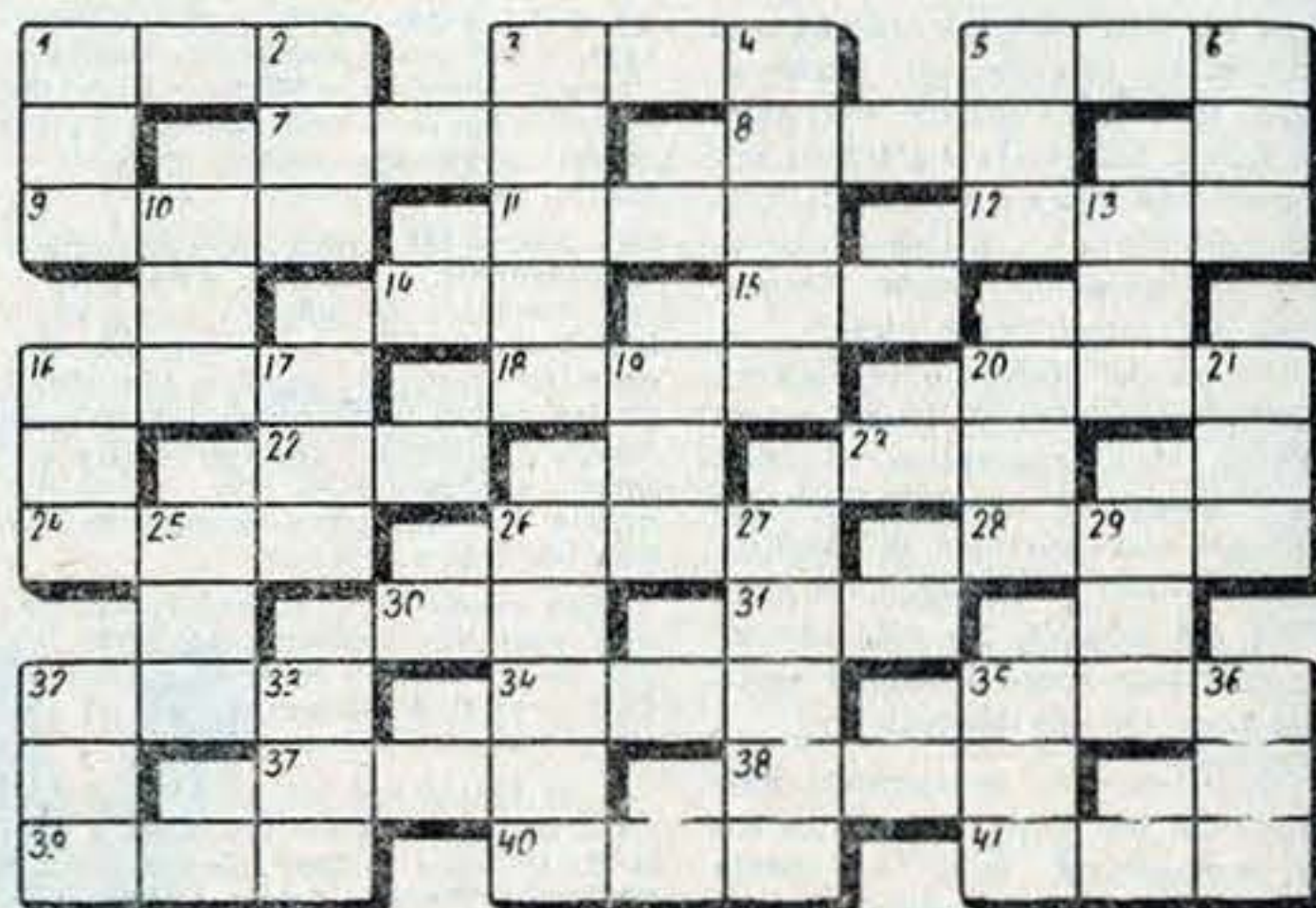
ILOŚĆ ROZWIĄZAŃ

2-3

nadodrże

Rozrywki umysłowe

Redaguje Zielonogórski Klub Szaradzystów



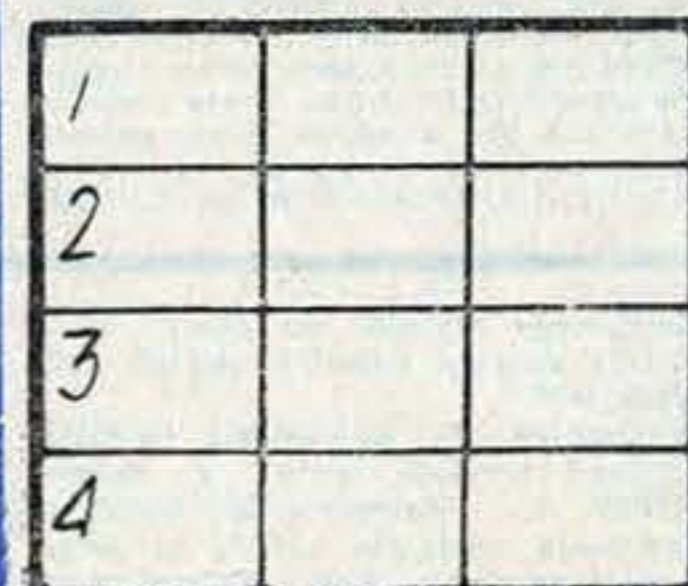
KRZYŻOWKA SYLABOWA
(Oprac.: „STANGAR”)

Poziołmo: 1. „Życie Warszawy”. 3. Duży żółw morski. 5. Największa pustynia. 7. Stolica Kolumbii. 8. Kompas. 9. Przyroda. 11. Poziołmo. 12. Część doby. 14. Ciastko z piany. 15. Otyłość. 16. Zdrowy napój. 18. Katusza, męka. 20. Instrument Bulata Okudawcy. 22. Rymak Juliana Tuwima. 23. Republika w Afryce. 24. Talerz do owoców. 26. Zła skłonność. 28. Miejsce w klasyfikacji. 30. Pochodzi z Argentyny. 31. Rozpyliacz. 32. Portiera. 34. Włosowa lub damska. 35. Stolica meksykańskiego stanu Veracruz. 37. Dopływ Martwej Wisły. 38. Przepływa przez Krzepice. 39. Wygnaniec. 40. Utrata zdolności mówienia. 41. Zgorzeł.

Pionowo: 1. Łączy Tuluzę i Bordeaux. 2. Miasto w zach. Tanzanii. 3. Przyspiesza reakcję chemiczną. 4. Dawny system notacyjny muzyki organowej. 5. Rodzaj wędliny. 6. Poisk świetlny. 10. Rzymska szata noszona pod toga. 13. Naturysta. 16. Wycielany mebel. 17. „Rigoletto”. 19. Wied nad jeziorem Turawskim. 20. Platny partner do tańca. 21. Zdobski skwer. 25. Czyszczący dzierżawny. 26. Przysposobienie. 27. Postępuje bezkompromisowo. 29. Orkiestra ludowa. 32. Szalas pasterski. 33. Słaby utwór literacki. 35. Bron śnieżna, rodzaj kłndzaju. 36. Kolejność stron druku.

LOGOGRYF BIAŁY
(Oprac.: Stanisław Patycki)

Proponujemy dzisiaj miłośnikom rozrywek umysłowych nowy rodzaj zadania. Jest to logogryf biały — publikowany pierwszy raz na łamach prasy polskiej. Rozwiązuje się ten logogryf podobnie jak klasyczny tzn. do poziomych rzędów diagramu wpisujemy oddzielnie wyrazy i czytając kolejno odczytujemy rozwiązanie. Cechą wyróżniającą tę odmianę jest to, że wszystkie litery odgadniętych wyrazów wchodzić w skład rozwiązania. (W logogryfie klasycznym tylko niektóre — oznaczone).



LOGOGRYF BIAŁY

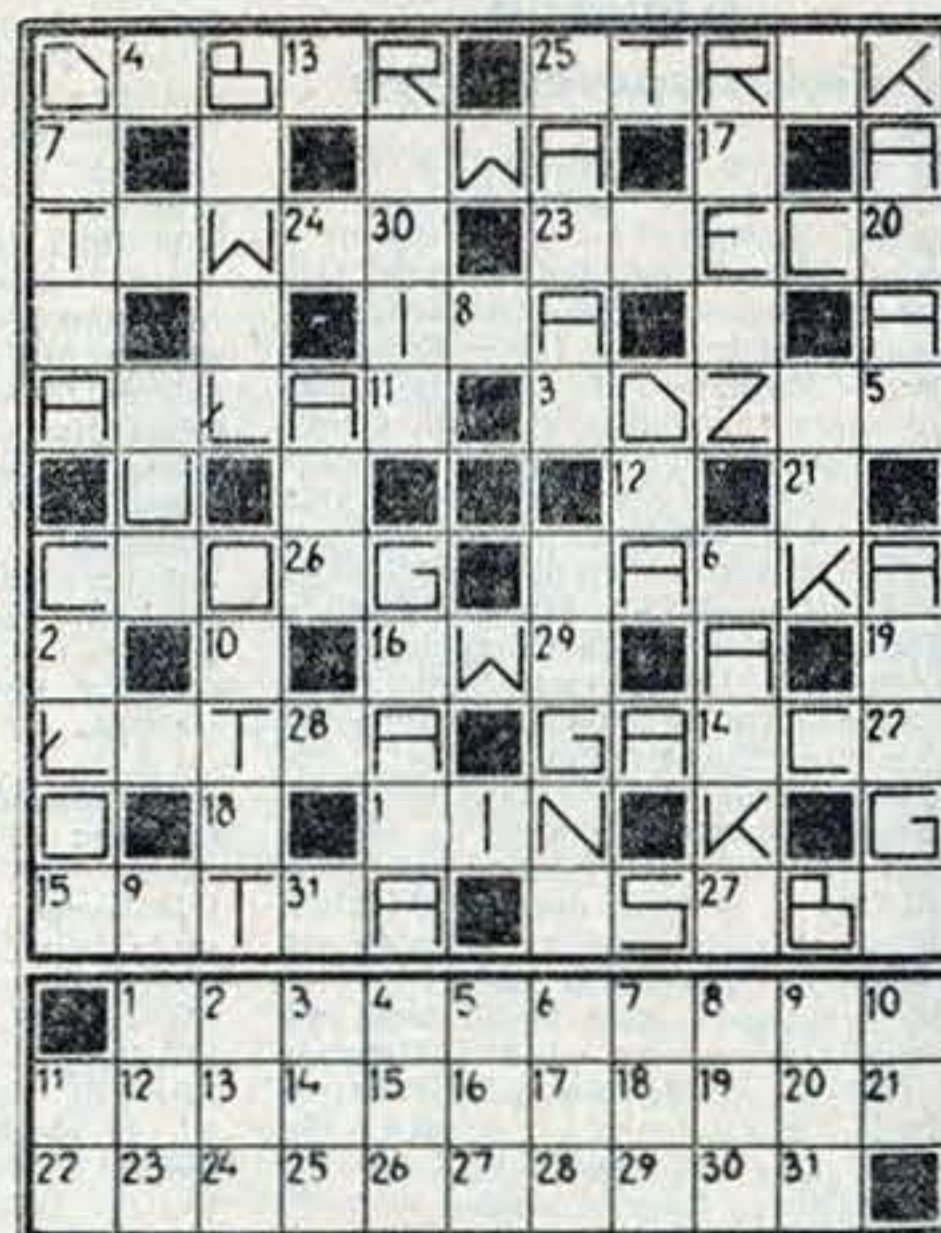
Dedykowany piechuram.

Znaczenie wyrazów:

1. Król pustyni
2. Mocne piwo angielskie.
3. Wieloryb.
4. Partnerka Adama.

UZUPEŁNIANKA
KRZYŻOWKOWA
(Oprac.: „ZEM”)

Należy uzupełnić wyrazy krzyżówki brakującymi literami, a następnie przenieść te litery w odpowiednie pola dolnego diagramu i rzędami poziomymi odczytać rozwiązanie — przysłowie egipskie.



Rozwiązania zadań prosimy nadsyłać na adres redakcji w terminie 14 dni od daty ukazania się numeru. Na kopercie należy nakleić zamieszczony powyżej kupon z zaznaczeniem ilości odpowiedzi — listy z rozwiązaniami trzech zadań wezmą udział w losowaniu nagrody książkowej wartości ok. 250 zł. Czytelnicy, którzy w tym losowaniu nie będą mieli szczęścia wezmą udział — razem z tymi, którzy rozwiązali dwa zadania — w losowaniu dwóch nagród książkowych po ok. 150 zł.

NAGRODY ZA ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR 8

Wylosowali: p. Jerzy Schroeder z Gorzowa (za trzy zadania) oraz p. Marek Rutkowski z Kamiennej Góry i p. Janusz Siarkiewicz z Gończyc w woj. siedleckim. Gratulujemy!

MaRGinałki

LAUREACI. Przyznane w tym roku młodemu twórcy nagrody „Zielonego Grona” nie objęły ani jednego poety lub prozaika, natomiast na liście znalazło się dwóch plastyków. Widać, że „kaptur” w jury nie lubi czytać ani wierszy ze longorskich debiutantów, ani prozy Zbigniewa M. Jelinka, lecz tylko oglądać ładne obrazy...

RECEPTY P. NOWACZYKA. W ankiecie „Przeglądu Tygodniowego” (nr 18) ogłoszonej pod hasłem „W pogoni za światem”, wypowiada się m.in. Wojciech Nowaczek z Zielonej Góry. „Z proponowanych dziewiętnastu dziedzin rozwoju gospodarczego wybrałem cztery, według mnie najistotniejsze” — informuje mieszkaniec naszego grodu. I wymienia je w kolejności: 1. ratykalna po prawa stanu sanitarnego kraju, rozwój turystyki przyjazdowej i wyjazdowej w stopniu nieograniczonym, tzn. wszędzie i dla wszystkich (tych, którzy ze wzglę



Wyróżniony rysunek PIOTRA KUTRYBY z Wystawy Rysunku Satyrycznego pt. PRASA, KLUB MPJK Zielona Góra 84